WTOREK Nr 112 18 IX 1984 Cena 5 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

... ale najpiękniejsze we wrześniu. Właśnie o tej porze w Zakopanem jest najatrakcyjniej. Niedawno spacerowicze podziwiali na Krupówkach „Tatrzańską Jesień". Teraz, kto spragniony bliższego kontaktu z naturą, może wieczorami posłuchać wśród regli koncertu jeleni, które rozpoczynają rykowisko. A wysoko w górach czeka groźne piękno, godne odkrywania wciąż na nowo. Nikt stąd nie wyjeżdża zawiedziony.

Fot. W. Wróblewski

- **FREUNDSCHAFT znaczy PRZYJAŹŃ**
- **„LIST Z WAKACJI"** *(szczegóły w 77 numerze „ŚM")*

Za 12 dni mija termin nadsyłania prac na konkursy o NRD
Miejsca w wycieczce do NRD oraz mnóstwo nagród czeka na Was
Nie przegapcie ostatniej szansy

Sześciolatki w saunie

(CAF). Fińskie sauny powoli zdobywają sobie prawo obywatelstwa w NRD. W Dreźnie oddano do użytku saunę dla dzieci w wieku od 4 do 6 lat. Pod opieką nauczycieli mogą się wypocić ile się da, tzn. ile można. Dla zdrowia dzieci odwiedzanie tego typu łaźni okazało się bardzo pożyteczne. Zmniejszyła się znacznie ilość katarów i zaziębień.

JOGA dla zwierząt

JAPONIA (PAI). Pewien młody Japończyk, Shingenori Masuda, stał się sławny dzięki temu, że prowadzi kurs jogi dla... psów i kotów. Japończycy, znani z wielkiej miłości do zwierząt, tłumnie zgłaszają się na zajęcia, pomimo że opłaty są dość słone. Wyniki przechodzą najśmielsze oczekiwania – podobno najgroźniejsze brytany przekształcają się za sprawą jogi w potulne „baranki".

NAJSZYBSZY SAMOLOT ŚWIATA

USA (PAI). Amerykańska firma Lockheed pracuje obecnie nad nowym modelem samolotu ponaddźwiękowego. Dzięki zastosowaniu silników rakietowych samolot osiągać będzie pułap 115 km i trzydziestokrotnie przekraczać szybkość dźwięku. Zdolność przewozowa – 90 pasażerów – to tyle, ile angielsko-francuski Concorde, który prędkość ponaddźwiękową przekraczał tylko dwukrotnie. Samolot nie będzie posiadać okien, ponieważ nie wytrzymałyby one wysokiej temperatury spowodowanej tarciem powietrza. 62-metrowy wehikuł powietrzny będzie mógł pokonać trasę nad Atlantykiem w 15 minut.

TEATR ZAPRASZA!

POTRZEBNA OCHOTA I TALENT

Teatr Ochoty – Ośrodek Kultury Teatralnej w Warszawie, ul. Reja 9 – przypomina, że tylko **do 20 września** przyjmuje zgłoszenia **na I rok zajęć w Ognisku Teatralnym**, które kształci młodych instruktorów teatru. Celem pracy w Ognisku iest rozwijanie uzdolnień artystycznych, wyrabianie odpowiedzialności i samodzielności. Trzyletni program obejmuje zajęcia z umuzykalnienia, tańca, pantomimy, podstawowych zadań aktorskich i reżyserskich, pracy z lalką, wiedzy o teatrze oraz samodzielne warsztaty teatralne. Zajęcia dla najmłodszych prowadzone są w formie gier i zabaw, członkowie Ogniska biorą również udział w przedstawieniach Teatru Ochoty przygotowywanych pod hasłem „dzieci dzieciom".

Jeśli więc masz nie mniej niż **7 lat** i nie więcej niż **16, dobrze się uczysz i uzyskasz na piśmie zgodę szkoły na udział w zajęciach** oraz – co najważniejsze – **zdasz pomyślnie egzamin** – możesz zostać członkiem Ogniska. Na egzamin należy przygotować: **dwa teksty dowolnego autora (poezję i prozę), piosenkę oraz wykazać się ogólną wiedzą o teatrze (może to być np. omówienie jednego wybranego przedstawienia).**

O terminie egzaminu zostaniesz powiadomiony oddzielnie. Zastanów się, a nuż jest to propozycja w sam raz dla Ciebie. Następna taka okazja dopiero za trzy lata! **(tem).**

KARTKI Z KALENDARZA

ROK 1979

13 I Podwyższone zostały ceny detaliczne benzyny oraz olejów i smarów samochodowych. Benzyna i olej napędowy drożeją o 1 zł za 1 litr. Opłaty za przejazdy autobusami PKS i w komunikacji miejskiej pozostają bez zmian.

15 II W godzinach południowych nastąpił wybuch w rotundzie PKO znajdującej się na skrzyżowaniu centralnych ulic warszawskich: Marszałkowskiej i Al. Jerozolimskich. Wybuch spowodował śmierć 49 osób, rany odniosło ponad 100 osób. Przyczyną wypadku była eksplozja gazu ziemnego, który z uszkodzonego przewodu znalazł ujście poprzez kanały telekomunikacyjne do podziemi budynku PKO. Rodziny ofiar tragedii zostały otoczone opieką państwa, ogłoszono żałobę narodową.

20 II Obchodził 85 rocznicę urodzin Jarosław Iwaszkiewicz – jeden z najwybitniejszych przedstawicieli literatury polskiej.

Na przełomie roku Polska, a także większość krajów europejskich, dotknięta została niezwykle ostrym i gwałtownym atakiem zimy. Bardzo niskie temperatury, a zwłaszcza obfite opady śniegu doprowadziły do wystąpienia zakłóceń w transporcie, energetyce, komunikacji i gospodarce komunalnej. W kilku rejonach Polski ogłoszono stan klęski żywiołowej. Zawieszono do dnia 6 I działalność wszystkich szkół podstawowych, zawodowych, pomaturalnych i liceów. Przedłużono do 6 I ferie w szkołach wyższych.

23 II Ambasador PRL w Królestwie Holandii złożył holenderskiemu ministrowi sprawiedliwości démarche, w którym wyraził zaniepokojenie rządu PRL zaniechaniem ścigania karnego Pietera N. Mentena, oskarżonego o współudział w dokonaniu masowej egzekucji mieszkańców wsi Urycz i Podhorodce.

1 III 50 lat temu powstały PLL Lot, jako państwowo-samorządowe przedsiębiorstwo. Od tego czasu samoloty LOT przeleciały około 460 mln kilometrów, czas trwania wszystkich lotów wyniósł ponad 1 mln godzin, przez pokłady samolotów przewinęło się 20 mln pasażerów. LOT podnosi bez przerwy standard swych usług, o czym może świadczyć szybkość przelotów, która w 1970 roku wynosiła 450 km/godz., w 1979 – 600 km/godz.

23 IV Obchodzono uroczyście 50-lecie szkolnictwa polskiego na Ziemiach Zachodnich i Północnych. We wsi Purda, w pobliżu Olsztyna, gdzie do 1939 r. istniała jedna z kilkunastu na ziemi warmińskiej szkół polskich, odbył się apel uczniów w miejscowej Zbiorczej Szkole Gminnej noszącej imię Tadeusza Pezały – nauczyciela polskiej szkoły w tej wsi, zamordowanego przez hitlerowców. Szkoła otrzymała sztandar ufundowany przez społeczeństwo gminy.

26 IV Odbyło się pierwsze w sesji wiosennej posiedzenie Sejmu PRL. Sejm zaaprobował program rządowych działań na rzecz realizacji uchwał XIV Plenum KC PZPR w sprawie dalszego zwiększania udziału uspołecznionego przemysłu drobnego w rozwoju społeczno-gospodarczym kraju. Sejm uchwalił dwie ustawy: o terenowym funduszu ochrony zabytków oraz o ustanowieniu tytułów honorowych „Zasłużony lekarz PRL" i „Zasłużony dla zdrowia narodu".

W marcu i kwietniu niektóre rejony Polski dotknięte zostały klęską powodzi o nie spotykanym w naszym kraju natężeniu. Stan alarmu i zagrożenia powodziowego trwał ogółem 3,5 miesiąca, gdyż pierwsze kłopoty wystąpiły już w grudniu ub. r., kiedy to zamarzaniu rzek towarzyszyło w niektórych miejsach powstawanie kry oraz zatorów. Alarm powodziowy obejmował ogółem 19 województw. Najbardziej ucierpiały województwa: ostrołęckie, białostockie, ciechanowskie i stołeczne warszawskie, położone w dorzeczu Bugu i Narwi. Równie trudna sytuacja powstała w dorzeczu Noteci, w dorzeczu Warty, zwłaszcza w okolicach Koła i Konina, a także w dorzeczu Wisły, szczególnie w okolicy Modlina. Powodzie wyrządziły ogromne szkody. Najbardziej ucierpiały miasta Pułtusk i Ostrołęka. Według obliczeń, w samej tylko produkcji rolnej powódź spowodowała straty wartości 3,5 mld zł.

28 IV Główna Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce opublikowała materiały, z których wynika, że dzięki pomocy społeczeństwa polskiego w latach okupacji ocalało 100–120 tys. Żydów. Obok osób indywidualnych pomoc tę niosły różne organizacje konspiracyjne zarówno polityczne jak i społeczne, organizacje ludowe, instytucje kościelne, charytatywne. W 1942 r. powstała w Warszawie zbiorowa organizacja pomocy Żydom znana pn. „Żegota", która istniała do stycznia 1945 r.

7–8 V W Warszawie obradował – VI Kongres Związku Bojowników o Wolność i Demokrację, organizacji kombatanckiej, skupiającej ponad 640 tys. członków – uczestników walk o wyzwolenia narodowe i społeczne, b. więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych. Obrady kongresu, przebiegały pod hasłem: „Polsce – pomyślność, światu – pokój".

25 V Odbył się w Warszawie V Zjazd Towarzystwa „Polonia". Wzięło w nim udział 500-osobowe grono działaczy towarzystwa i współpracujących z nim instytucji, organizacji społecznych, środowisk twórczych, stowarzyszeń regionalnych, związków wyznaniowych.

25 V W Sali Kolumnowej Sejmu odbyła się uroczystość wręczenia prof. architektury Halinie Skibniewskiej – wicemarszałkowi Sejmu PRL, działaczce społecznej, bojowniczce polskiego i międzynarodowego ruchu pokoju, Nagrody Leninowskiej „Za utrwalenie pokoju między narodami".

28 V Odbyła się w Warszawie uroczystość inaugurująca działalność Stałego Przedstawicielstwa Patriotycznego Frontu Zimbabwe w Polsce.

2–10 VI Przebywał w Polsce z wizytą pielgrzymką Papież Jan Paweł II. Była to pierwsza w historii podróż najwyższego zwierzchnika Kościoła Katolickiego do Polski, a zarazem pierwsza po wyborze na ten urząd wizyta w ojczyźnie Papieża – Polaka. Jan Paweł II przybył na zaproszenie Episkopatu Polski. Wizyta miała charakter pielgrzymki religijnej. Papież odwiedził Warszawę, Gniezno, Częstochowę, Kraków, teren byłego obozu zagłady w Oświęcimiu – Brzezince oraz Kalwarię Zebrzydowską, Wadowice i Nowy Targ. Wszędzie witany był przez wielotysięczne tłumy rodaków. 2 VI Jan Paweł II spotkał się w Belwederze z I sekretarzem KC PZPR E. Gierkiem i przewodniczącym Rady Państwa H. Jabłońskim. Wizycie – pielgrzymce Jana

cd. na str. 2

KARTKI Z KALENDARZA

REPORTER Świata Młodych

BYLE JAK?! BYLE ZBYĆ?!

Witam Was serdecznie!

W drugiej połowie sierpnia, kiedy cieszyliście się wakacjami, ogłosiłem nowy temat w LR. Jego hasło wywoławcze brzmi **Byle jak!? Byle zbyć?!**, a tematem jest „bylejakość" naszej codzienności.

Przyzwyczajenie do niechlujstwa, „tumiwisizmu", ordynarnego słownictwa i innych niedobrych obyczajów, które dokuczają wszystkim, jest groźne! Niejednokrotnie zwykły brud czy niedbalstwo tłumaczy się... kryzysem ekonomicznym. A przecież jest czym szorować, prać i myć! Jest natomiast kiepsko z wyciąganiem konsekwencji wobec instytucji i osób powołanych do przestrzegania porządku.

Nie może być zgody na przyzwyczajenie się do efektów takiego działania! A raczej braku działania...

W swoich wakacyjnych wędrówkach obejrzałem kilka zaniedbanych dworców PKP. Niechlubne pierwsze miejsce przyznaję stacji kolejowej w Świnoujściu. Zastarzały (chyba od lat) brud we wnętrzu, na peronach i przed wejściem na dworzec, wytłumaczono tym, że „dziś niedziela, nie ma sprzątaczek"... Zwiedziłem też kilka dworcowych tzw. wygódek (najbrudniejsza w Krośnie, ładnym wojewódzkim mieście nad Wisłokiem), których istnienie zaświadcza odrażający fetor, a wnętrza budzą grozę...

Autorzy wypowiedzi, którymi dziś rozpoczynam nową dyskusję w Lidze Reporterów zaobserwowali niejedno. Podają konkretne miejscowości, toteż sądzę, że gospodarze miast i osiedli nie przejdą obojętnie wobec opisanych zjawisk.

Liczymy też na reakcję nowych radnych.

Czekam na dalsze korespondencje; anonimów nie zamieszczam.

Szef Ligi Reporterów

MUCHY W SKLEPIE

No, nareszcie mam okazję napisać o tym wszystkim, co od dawna mnie „rusza". W każdą sobotę ustawia się długaśna kolejka w niedawno oddanym pawilonie w Jasienicy, przy stoisku „mięso-wędliny". Jako domowy zaopatrzeniowiec stoję w tym ogonku. I co widzę? Nad stoiskiem mięsnym (jak i nad całą resztą) fruwają roje much. Na sam widok odechciewa mi się niedzielnego obiadu. Wiem, że gdzie indziej takich rzeczy się nie spotyka, gdyż już kilkakrotnie słyszałam z ust obcych osób uwagi na ten temat. Przyznam się, że mnie, jako mieszkance tej wsi, na pozór przecież ładnej i przytulnej, jest wstyd za takie niechlujstwo i niedbalstwo. Czyja to wina, że w sklepie są muchy? Przez cały tydzień obsiadają chleb, sery oraz inne produkty.

A przy odrobinie chęci można by się było pozbyć tych natrętnych bestii. Ale kto się tym ma zająć? Moim zdaniem kierownictwo sklepu.

„Dores" Z Jasienicy woj. krośnieńskie

WIDOK CODZIENNY

Ogłosiliście sprzeciw wobec niekulturalnego zachowania. Na każdym kroku w Łabędach można natknąć się na pijaków, którzy zaczepiają i ordynarnie się zachowują. Idąc do biblioteki tutejszego Domu Kultury napotykam na połamane ławki , porozrzucane papiery po lodach „calipso" i butelki po winie i wódce.

Siedząc na balkonie jestem zmuszona słuchać przekleństw siedzących na pobliskich działkach mężczyzn pijących wódkę i rzucających butelkami o szosę.

Kiedy jadę autobusem, robi mi się niedobrze na widok brudnych podłóg i chyba od roku nie mytych szyb. Czy w tym wypadku można mówić o kryzysie? Powiedzmy krótko – jest to zwyczajne lenistwo i niedbalstwo konkretnych osób.

Barbara Z. z Łabęd

NIEKTÓRE ZAKOPIAŃSKIE PLAGI

Od 4 lat jeżdżę z rodzicami na wakacje do Zakopanego. Podoba mi się to miasto i lubię je. Zwłaszcza kocham piesze wędrówki po Tatrach. Miasto to wydawało mi się czyste i schludne, ale w tym roku jest straszne! Mieszkaliśmy przy ulicy Piaseckiego, na której w godzinach wieczornych pali się tylko jedna latarnia. Reszta ulicy jest ciemna i głucha. Ale to jeszcze nic. Prawie codziennie przechodziliśmy przez park łączący ulicę Sienkiewicza z ul. 1 Maja. Nie wiadomo czy to jest park, czy śmietnisko. Ławki są brudne i zniszczone, a kosze obok ławek zapełnione po brzegi śmieciami. Po alejkach wszędzie walają się sterty papierów, puszek po konserwach itp. Również latarnie są porozbijane i jakoś nikt się nie kwapi to naprawić. A przecież o wiele milej byłoby usiąść na ładnej ławeczce, wokół której nie byłoby śmieci...

Również na Krupówkach, centralnym deptaku Zakopanego, jest pełno śmieci, a kosze nie były opróżniane co najmniej przez miesiąc. Czy nie dałoby się czegoś zrobić? Czy musimy zawsze pokazywać gościom zagranicznym nasze niechlujstwo? Chciałabym i ja zresztą spędzić następne wakacje w czystym Zakopanem.

Drugą sprawą, którą chcę poruszyć jest plaga przyjęć towarów. W pełni sezonu, kiedy jest mnóstwo turystów i gości zagranicznych, spotyka się na sklepach takie wywieszki: „Sklep nieczynny z powodu urlopu", „Sklep nieczynny z powodu choroby całego personelu" (czyżby naraz wszyscy zachorowali?). „Remont", „Remanent", „Przyjęcie towaru do godziny 18.00", kiedy to sklep jest właśnie tylko do tej godziny otwarty! W tym samym sklepie drugiego dnia wisi ta sama wywieszka...

„Bela" z Rudy Śląskiej

CO NA TO GMINNE WŁADZE?

Pochodzę z małej wioski Grochowy, w województwie konińskim. Naprzeciwko naszej szkoły pobudowana została wiata, w której mogą się schronić ludzie czekający na autobus. Niby wszystko w porządku: jest wiata, deszcz na głowę nie pada – ale... No właśnie, rzecz w tym, że aż nieprzyjemnie tam wejść. Zastaje się okropny widok: porysowane ściany, pełno „petów", a na ławce masa piasku, który pozostawiają bawiące się tam małe dzieci. Jest i drugi problem: wiata ta ma dwa duże otwory okienne, które niestety nie są zaszklone, wiatr hula więc we wnętrzu.

Chciałabym poruszyć jeszcze jedną sprawę: otóż w pobliskim Rychwale opodal przystanku autobusowego znajduje się mały park, a w nim... pod ławkami pełno papierków, ogryzków, pestek i innych śmieci. Co najdziwniejsze, na terenie tego miasta zatrudnionych jest kilka sprzątaczek ulicznych, które zamiast pracować całe 8 godzin, zaledwie zamiotą kawałek chodnika (i to jeszcze niedokładnie), a resztę czasu poświęcają na plotkowanie. Nie rozumiem, za co im płacą?

M

KTO TRACI, A KTO ZARABIA

Od dłuższego już czasu szukam porządnych półbutów, tenisówek, gustownej i niedrogiej sukienki. Na kupowanie na bazarach i w butikach nie stać mnie, ani moich rodziców. A w państwowych sklepach na półkach zalegają buble. Dlaczego tak jest? Przecież producentowi powinno zależeć na wyprodukowaniu atrakcyjnych towarów. Tymczasem producenci najwyraźniej nie mają chęci zadowolić klientów. Dyrektorzy przedsiębiorstw produkujących buble tłumaczą się potrzebą zaspokojenia rynku. Ale w głowie im się nie mieści, że rynku nie zaspokaja się byle czym! Nie mogą rynku zadowolić np. adidasy z odklejającą się po 2 dniach podeszwą.

Gdy przedsiębiorstwa państwowe tracą klientów, zarabiają „butiki" i drobna wytwórczość. U „prywaciarzy" można kupić wszystko, ale... za ile! Ceny nie mieszczą się w realiach przeciętnego Polaka. W butikach zaopatrują się więc co bogatsi – nieliczna elita.

Karina z Wrocławia

REDAKCYJNA POCZTA

Najczęściej udaje, że nic nie dostrzega

Może się mylę, lecz nie przypominam sobie bym kiedykolwiek przeczytał w „RP" o podobnej sprawie. Rzecz dzieje się w szkole, do której uczęszczam, a tematem mego listu jest jeden z nauczycieli – biolog. Jest oń starszym człowiekiem, może nieco zamkniętym w sobie i dosyć pobłażliwym dla uczniów, co staje się powodem wielu, na pewno przykrych dla niego incydentów. By uświadomić redakcji i mym rówieśnikom o jakie incydenty chodzi – podam kilka przykładów; chociażby bazgroły na ławkach, wśród których bardzo często pojawiają się chamskie obelgi skierowane pod adresem nauczyciela. Nie będę ich przytaczał. Następnie, co jest domeną siódmych i ósmych klas, robienie panu głupich kawałów (przynoszenie na lekcje żab i innych zwierząt, łamanie kwiatów, trucie rybek w akwariach). A poza tym, gdy któryś z chuliganów spotyka pana w mieście, chowa się gdzieś i wykrzykuje znane nauczycielowi przezwiska (żaba, chomik). Różni chuligani piszą karteczki z groźbami, które przyklejają na drzwiach gabinetu biologicznego. Jak odpowiada na to biolog? No tak: bardzo rzadko skarży się wychowawcom dokuczających mu klas, najczęściej jednak udaje, że nic nie widzi, nie słyszy.

Jestem zdecydowanie po stronie nauczyciela, ale nie wiem co robić, by zmienili się chociaż moi koledzy z klasy. Nigdy nie pyskuję i nie robię głupich kawałów i często próbuję przemówić kolegom do rozsądku. Prawie nigdy nie odnosiło to skutku, co gorsza zostaję wyzwany od „cykorów" i „ślimaków".

Kiedyś nawet powiedziałem nauczycielowi, kto złamał liść filodendronu. Wtedy jakimś cudem dowiedzieli się o tym klasowe punki. Nazwali mnie „kapusiem" (nie licząc przekleństw), a po lekcjach pobili. Odtąd nie wtrącam się do „nie swoich spraw" i z niemym wyrzutem obserwuję ich działania. Wracając do rzeczy: jak potoczą się losy biologa? Niewykluczone, że niedługo odejdzie na przedwczesną emeryturę (wcale bym się temu nie dziwił).

„Kostia"

Bo potem... uczucie jest jeszcze piękniejsze

Piszę ten list chcąc pocieszyć wszystkie zrozpaczone dziewczyny. Mam 15 lat, jestem – jak wszyscy mówią – wesołą i nie tracącą życia małolatą. I podobnie jak dziewczyny w moim wieku, zakochałam się (zresztą nie po raz pierwszy). Chłopak dokładnie odpowiadał moim skromnym wymaganiom. Pierwsze spotkanie, bojaźliwe poznawanie siebie nawzajem, pierwszy pocałunek – byłam „wniebowzięta". Łączyła nas przyjaźń, a może miłość, w każdym razie mocne uczucie. Zaczęły się wakacje. Czekałam na wiadomość od niego – wyjechał, ja też... Wprawdzie troszkę smuciłam się, ale przeszło... Koniec opowieści, jakich wiele.

Nie jestem zwolenniczką podobnych „mikroskopijnych" znajomości, ale uważam, że takie właśnie przygody wręcz powinniśmy przeżywać mając naście lat, bo potem... Jeszcze piękniejsze jest uczucie wytrzymujące rozstania i niepowodzenia łączące dwoje młodych ludzi.

A więc raz na zawsze wyrzućcie smutki. Jeśli nawet ma się te parę piegów na nosie, nogi nie takie, jakie chciałoby się mieć, można przeżywać piękne chwile i cieszyć się życiem.

Trampelz

KARTKI Z KALENDARZA

c.d. ze str. 1

Pawła II towarzyszyło ogromne zainteresowanie światowej opinii publicznej. Przy Biurze Prasowym akredytowanych było 1500 dziennikarzy polskich i zagranicznych.

3 VI W Międzylesiu odbyła się uroczystość otwarcia zasadniczej części Centrum Zdrowia Dziecka – gmachu szpitala na ok. 450 łóżek. Tym samym zakończony został drugi etap budowy Pomnika-Szpitala CZD.

W połowie czerwca, po fali upałów, w południowych regionach Polski – w województwach rzeszowskim, krakowskim, wałbrzyskim i wrocławskim – wystąpiły silne wiatry i ulewy, powodujące gwałtowny przybór tamtejszych rzek. Najpoważniejsza sytuacja powstała w woj. wałbrzyskim i samym mieście. W Krakowie i okolicach woda deszczowa zalała piwnice, magazyny i kotłownie, a w woj. rzeszowskim gradobicie poczyniło poważne szkody w zasiewach, w uprawach warzyw, krzewów i roślin przemysłowych.
W woj. wałbrzyskim czerwcowa powódź spowodowała zalanie 18 tys. ha gruntów ornych, zerwanie 20 mostów, ewakuację 1600 gospodarstw rolnych. Podczas gwałtownej ulewy, która nawiedziła rejon Podgórza Sudeckiego, śmierć poniosło 5 osób.

22 VI Nowa Huta, najmłodsza dzielnica starego Krakowa, oraz Kombinat Metalurgiczny im. W. Lenina obchodziły 30 rocznicę swego powstania.

30 VI Odbyła się w Lublinie centralna inauguracja tegorocznej akcji „Lato OHP-79" dla 285 tys. młodzieży szkolnej i studenckiej, zgrupowanej w 8 tys. hufców. Najważniejszy front pracy to budowa kolejowej linii hutniczo-siarkowej Hrubieszów – Huta „Katowice".

1–7 VII We wszystkich gospodarstwach indywidualnych w całym kraju odbył się spis rolny. 60 tys. rachmistrzów zebrało informacje dotyczące użytkowania gruntów rolnych, powierzchni zasiewów i poszczególnych upraw oraz pogłowia zwierząt gospodarskich.

24 VII W Warszawie zmarł w wieku 42 lat poeta, prozaik, tłumacz literatury hiszpańskiej i francuskiej, dwukrotny laureat nagrody im. St. Piętaka – Edward Stachura.

Przed rokiem 4 VII Główna Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce, dając wyraz jednoznacznej opinii społeczeństwa, wystosowała apel w sprawie nieprzedawniania zbrodni hitlerowskich. Zgodnie bowiem z uchwałą Bundestagu z 1969 r. w RFN obowiązywał 30-letni okres, po którym zbrodnie hitlerowskie ulegały automatycznemu przedawnieniu. W odniesieniu do zbrodni nazistowskich termin ten miał upłynąć dnia 31 XII 1979 r. Ostatecznie, w dn. 3 VII zachodnioniemiecki Bundestag uchwalił ustawę znoszącą przedawnienie zbrodni hitlerowskich.

15–18 VIII W związku z 60 rocznicę wybuchu I Powstania Śląskiego na terenie całego kraju, a zwłaszcza na ziemi śląskiej, odbyły się liczne okolicznościowe uroczystości.

Według danych na rok 1979 mamy w kraju ok. 9200 bibliotek publicznych, z czego na wieś przypada blisko 6 550. Wojewódzkie, miejskie, gminne biblioteki publiczne prowadzą ok. 880 filii (łącznie z oddziałami dla dzieci) oraz ponad 27 tys. punktów bibliotecznych. Biblioteki publiczne dysponują księgozbiorem blisko 90 mln woluminów.

1 IX Minęła 40 rocznica hitlerowskiego najazdu na Polskę, który rozpoczął II Wojnę Światową, wojna objęła 61 państw, 1.700 mln ludzi i pociągnęła za sobą śmierć 50 mln osób na polach bitew i w obozach zagłady.

7–8 IX Na zaproszenie prezydenta Francji V. Giscarda d'Estaing, przebywał w tym kraju z roboczą wizytą I sekretarz KC PZPR E. Gierek.

17 IX Minęła 60 rocznica urodzin Janka Krasickiego (1919–1943) wybitnego działacza polskiego ruchu młodzieżowego i ruchu oporu w latach okupacji niemieckiej, współzałożyciela i przewodniczącego Związku Walki Młodych.

25–28 IX Na zaproszenie króla Belgów Baudouina I i królowej Fabioli przebywał z oficjalną wizytą w Belgii przewodniczący Rady Państwa H. Jabłoński.

1 X Ministerstwo Łączności poinformowało, że podwyższone zostają średnio o 1 zł opłaty za przesyłki pocztowe, kartki pocztowe i druki.

11 X Dwieście lat temu zmarł śmiercią żołnierza z ran odniesionych na polu bitwy pod Savannah, bohater narodu polskiego i amerykańskiego generał Kazimierz Pułaski.

10–12 X W Warszawie odbyło się spotkanie sfer gospodarczych Polski i rozwiniętych krajów zachodnich nt. możliwości i perspektyw rozwijania i intensyfikacji wzajemnych stosunków gospodarczych. W spotkaniu tym, zorganizowanym z inicjatywy Polskiej Izby Handlu Zagranicznego i Międzynarodowej Izby Handlowej w Paryżu, uczestniczyło kilkudziesięciu przemysłowców z 12 krajów Europy zachodniej, Ameryki Północnej i Japonii,a ze strony polskiej – liczna grupa reprezentantów resortów i zjednoczeń gospodarczych, Banku Handlowego i przedsiębiorstw handlu zagranicznego.

25 X Odbyła się w Warszawie uroczystość oficjalnego otwarcia Instytutu Francuskiego. Do rangi tej podniesione zostały czytelnie francuskie działające od wielu lat w Warszawie i Krakowie.

Stany Zjednoczone udzieliły Polsce na rok gospodarczy 1979/80 kredytów na zakup artykułów rolnych w łącznej wysokości 500 mln dolarów. Na sumę tę składają się kredyty rządowe oraz kredyty bankowe, gwarantowane przez rząd Stanów Zjednoczonych.

6 XI 40 lat temu w wyniku tzw. Sonderaktion Krakau hitlerowcy podstępnie aresztowali i następnie wywieźli do obozów koncentracyjnych 183 krakowskich naukowców, głównie profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego i Akademii Górniczej.

16 XI Pod hasłem: „Jesteśmy wszędzie tam, gdzie dzieci potrzebują pomocy" – odbył się w Warszawie VIII Krajowy Zjazd Towarzystwa Przyjaciół Dzieci.

1 XII Polski Komitet Olimpijski obchodził jubileusz 60-lecia istnienia.

KARTKI Z KALENDARZA

GDZIEŚ NA UBOCZU

Jest się czym pochwalić: prawie dwadzieścia kilometrów pokonanych w rekordowym tempie; przez las idzie się doskonale, śpiewając, krzycząc, popisując się znajomością nowych dowcipów. No i ważne jest tylko, aby nie wejść w kałużę, zjeść w miarę szybko ćwierć kilo irysów kupionych w mijanej wsi, no i.. mieć wreszcie za sobą tę wędrówkę.

Jesteśmy na miejscu. Plecaki ułożyć w równym szeregu pod ścianą sali, w której będziemy nocować, prowiant przekazać zastępowi służbowemu, do kieszeni włożyć kilka najpotrzebniejszych podczas pobytu w mieście rzeczy i – zastęp gotów do wyjścia. Drużynowy, dając tzw. czas wolny, proponuje chętnym krótki, półtorakilometrowy spacer do rezerwatu żubrów, ale kto by sobie zawracał głowę takimi rzeczami. Przecież w ZOO też można zobaczyć te zwierzaki. Nie szkodzi, że trafia się okazja obserwowania „królów puszczy" w warunkach prawie naturalnych – TAM czekają takie interesujące rzeczy!

Nareszcie! Kilka osób poszło oglądać dzikie krowy, nasz zastęp w całości udaje się w inną stronę. Najpierw do parku; trzeba znaleźć jakieś ustronne miejsce i spokojnie „wypuścić dyma". Krąży paczka „popularnych" – mamy przecież po czternaście lat, jesteśmy dorośli. Tę dorosłość najlepiej czuje się właśnie teraz, przecież nie na ognisku – tam niech śpiewają dziewczyny, przecież nie w czasie gry terenowej – to takie proste, zresztą i tak jesteśmy w tym najlepsi. Trochę głupio palić w mundurze. Ale to nic, można przecież włożyć jakąś bluzę lub kurtkę. Krzyż przysłonięty, nikt nie ma prawa przyczepić się.

Teraz idziemy nad morze, przecież po to tu przywędrowaliśmy. Budka z lodami, któż się oprze takiej pokusie? Wreszcie molo i brzeg morza. Szkoda, że taka kiepska pogoda, bo można by się wykąpać. Sklep z pamiątkami: „patrzcie, jaki obciach, ludzie kupują taką tandetę – wsiochy z dżungli" – ogólny śmiech. Udał się dowcip.

Dalej, trzeba zwiedzić ten kurort, zostało już niewiele czasu. Jeszcze jedne lody, potem frytki, tam po drodze mijaliśmy kawiarnię z szafą grającą, może będzie można czegoś posłuchać? Ciasno, nie ma wolnych stolików, trudno, idziemy dalej. Aha, trzeba zrealizować zadanie i dowiedzieć się, co tu jest ciekawego do oglądania. O, tablica z planem miasta: rezerwat żubrów, rzeźba Neptuna przy molo (gdzie? szliśmy i nie widzieliśmy!), jest też jakieś muzeum przyrodnicze, pomnik na rynku i już. Zapisane? To idziemy dalej, a może znów na chwilę do parku?

* * *

Podchodzi jakiś facet, mówi, że jest ze „Świata Młodych". „Chłopaki chodźcie, przecież sam nie będę mówił. Jesteśmy z Wrocławia, teraz na obozie w województwie szczecińskim, dużo zwiedziliśmy, dowiedzieliśmy się. Sprawności? Tak, będziemy zdobywać. Co ciekawego na obozie? No, gry terenowe, alarmy, podchody, pomagaliśmy w żniwach, co by tu jeszcze...? Tu, w tym mieście jeszcze nic nie widzieliśmy, dopiero przyszliśmy, całe dwadzieścia kilometrów". Uff, nareszcie poszedł! Może będzie o nas coś w gazecie?

Trzeba wracać, kończy się czas wolny, za kilka minut zbiórka.

* * *

Zanim zdecydowałem się podejść do harcerzy noszących na rękawach plakietki z herbem Wrocławia, przez pewien czas spacerowałem po ulicach pełnych turystów Międzyzdrojów. Najpierw spotykałem ich przypadkowo to w parku, to na deptaku. Potem jednak zacząłem obserwować zastęp snujący się zupełnie bez celu.

Nawet nie nadstawiając specjalnie ucha można wiele usłyszeć, nawet nie wytężając wzroku łatwo zauważyć wiele rzeczy, zwłaszcza, że mnie, starego harcerza, interesują ludzie w zielonych i szarych mundurach. Zresztą owe mundury (często jest to nazwa nieco za ładna; bardziej pasowałaby: ciuchy zrzeszonych niechlujów) ściągają wzrok ludzi nie mających z harcerstwem nic wspólnego. A przecież nietrudno było w centrum przeludnionego miasteczka zobaczyć dzielnych druhów „wietrzących płuca", czy usłyszeć w ich wykonaniu dowcipy i odzywki na poziomie... nie, właściwie bez poziomu. Po co im było owe dwadzieścia kilometrów przemaszerowane w rekordowym (jak sami to określili) tempie? Przecież autobusy kursują często, a byłoby więcej czasu na lody, gofry, a może nawet udałoby się kupić jakieś wino i „obalić" gdzieś na uboczu, najlepiej przy wejściu na molo? Byle tylko zasłonić krzyż, bo inaczej to jakoś tak głupio...

JAROSŁAW MACHOWIAK

● *Druhu Komendancie, właśnie druhowi przypadło w udziale zakończenie Operacji „B-40", która była jednym z największych i najważniejszych przedsięwzięć Związku Harcerstwa Polskiego. Druh był komendantem Operacji przez dwa ostatnie lata, które na pewno nie należały do najłatwiejszych, a i sama Operacja w ciągu 10 lat jej trwania miała swoje wzloty i upadki.*

– Dziesięć lat to bardzo długi okres w całej naszej historii, jest to jedna z najdłuższych akcji w skali naszego Związku. Złożyło się na nią wiele różnych pomysłów, propozycji, jak również sposób ich realizacji. Zastałem tę Operację z wypracowanymi właściwie już mechanizmami pracy, sposobem kierowania tą akcją. Przedtem z Bieszczadami w ogóle nie byłem związany, toteż moje spojrzenie na „B-40" było niejako nowe. Dh Stanisław Puchała, który rozpoczął i przez wiele lat prowadził Operację, mógł nie tylko wykoncypować pewne założenia programowo-organizacyjne, ale równocześnie miał czas na doskonalenie ich, modyfikowanie i korzystanie z nakładu pracy, jaką zawsze trzeba włożyć w rozpoczynającą się akcję. Miał również zespół ludzi, którzy podzielali jego punkt widzenia.

Zamykając Operację nie chciałbym uronić nic z tego, co rzeczywiście zostało tutaj rzetelnie zrobione, a jednocześnie nie kamuflować spraw, które nam nie wyszły. Łatwiej jest mówić i oceniać temu, kto był na Operacji od początku do końca, a trudniej temu, kto właściwie przyszedł na gotowe i bawi się w cenzora, mając świadomość, że jego wkład w całe dzieło jest nieporównywalnie mniejszy.

Dlatego też postanowiłem zachować formułę, która została już wypracowana wcześniej, jednocześnie – bardzo powoli – wprowadzać pewne zmiany, a nawet eksperymentować. Robiłem to po to, by stworzyć pewien model funkcjowania harcerzy starszych w Bieszczadach w latach przyszłych. Między innymi dopuściliśmy do udziału w Operacji tych, którzy nie mieszczą się w konwencjonalnej formule, tzn. nie pracują na rzecz regionu i nie ubiegają się o Odznakę Zasłużonego Bieszczadom. Są obozy lotniarskie, żeglarskie, naukowe, jest nawet kolonia zuchowa. Zrobiliśmy to po to, by pokazać, że Bieszczady nadają się właściwie dla wszystkich.

● ***Wobec tego, jak druh widzi przyszłość harcerzy starszych w Bieszczadach? Pomijając wszelkie dyskusje, które się toczą i toczyć będą, i które – przynajmniej moim zdaniem – są dyskusjami po trosze jałowymi, bo wiadomo, że harcerze starsi i tak w Bieszczadach zostaną. Obojętne, czy będzie to akcja centralna czy nie i bez względu na to, jaka nazwa będzie obowiązywała.***

– W naszym interesie leży, aby te wszystkie stanice zatrzymać. Rozbudować tak, żeby mogły służyć jeszcze długo. Jakaś lojalność wobec tych, którzy tu pracowali przez tyle lat obowiązuje i kontynuacja tego, co było, jest nakazem nie tylko moralnym. Poza tym jesteśmy tu potrzebni. Zarówno władze administracyjne, partyjne, przedsiębiorstwa jak i społeczeństwo czekają na nas. Jest to olbrzymi teren, słabo zaludniony i każda para rąk do pracy się liczy. Harcerze przyjeżdżają tu nie tylko do znajomych stanic, ale do znajomych gospodarzy i ich dzieci, którymi się opiekują. Więź ze społeczeństwem jest więc bardzo silna i naturalna. Argumentów za pozostaniem harcerzy w Bieszczadach jest jeszcze wiele, ale nie o to chodzi.

Natomiast, w jaki sposób ma być finansowana akcja i w jaki sposób kierowana, jeszcze nie wiadomo. Wiadomo tylko na pewno, że musi być sztab, centralne zaopatrzenie, opieka lekarska i łączność. To jest niezbędne. Musi być zespół ludzi, który koordynowałby pewne zamierzenia, takie jak np. Jarmark Artystyczny, festiwal w Bukowcu. To warto kontynuować.

● ***Załóżmy, że akcja będzie trwała nadal, oczywiście w innej już formie i pod inną nazwą. Co druh Naczelnik zmieniłby, jak ewentualnie ulepszył tę akcję, co nowego wprowadził?***

– Po pierwsze – na pewno nie będzie to już akcja, tylko stały pobyt harcerzy starszych w Bieszczadach. Sądzę, że należałoby całą tę „piramidę" operacyjną odwrócić. To znaczy postawić na jak największą samodzielność stanic, sztabowi pozostawiając tylko koordynowanie niektórych zadań, wspólnych dla wszystkich. Uważam, że region ten winien być otwarty dla wszystkich harcerzy. Nie tylko tych, którzy chcą tu pracować, ale również tych, którzy będą realizować swój własny program. A więc będą to obozy żeglarskie, sportów obronnych, turystyczne, wędrowne, naukowe i inne.

● ***W tej chwili trudno chyba ocenić rzetelnie i prawdziwie całą Operację „B-40". Ale może druh pokusiłby się o próbę zaprezentowania swojego stanowiska, swojej własnej oceny?***

– Można już dzisiaj ocenić Operację. Do niewątpliwych osiągnięć zaliczyć należy fakt, że nie znudziła się ona ani kadrze, ani uczestnikom. Co roku, pewien niemały, bo 7-tysięczny zespół ludzi chce przyjechać w Bieszczady. Chce pracować na rzecz regionu i nie wyobraża sobie innego spędzania harcerskiego lata. To, że harcerze chcą tu zostać, również trzeba zapisać na plus Operacji. Zmienił się diametralnie stosunek miejscowej ludności do harcerzy. Sukcesem jest to, że przez te lata wypracowaliśmy nowe, ciekawe formy aktywności kulturalnej. To, że wykształciliśmy tu zupełnie nową kadrę instruktorską. Wreszcie i to, że nie ma właściwie większych czy mniejszych inwestycji w Bieszczadach, w których nie uczestniczyliby harcerze. Nie do końca, niestety, zostały zrealizowane przedsięwzięcia, które zamierzaliśmy wykonać. Po części jest to wina mało konsekwentnego działania kadry, która różnie angażowała się w sprawę. Nie zawsze też dobrze przygotowany był front robót. Harcerze wykonywali prace, których wykonywać nie powinni. W związku z tym nie zawsze było widać jej efekty.

Ewidentnym mankamentem jest to, że wiele stanic do tej pory nie ma wykupionych czy wydzierżawionych terenów obozowania. Że pracując na rzecz Bieszczad, nie pracowano również i dla siebie. Że nie wybudowano na stałe kuchni, pomieszczeń magazynowych, izolatek itp. Przewożenie tak dużej ilości sprzętu co roku pociąga za sobą ogromne koszty.

● ***Czy druh zaryzykowałby, i w jakiś sposób spróbował pogrupować organizatorów stanic na tych wyraźnie najlepszych, na tych „przeciętniaków" i na tych, którym niewiele się udawało?***

– Trudno tu o jakąkolwiek ocenę, bo nie można przyjąć właściwie żadnych jej kryteriów. Są komendanci, którzy uczestniczą w Operacji od 10 lat i są tacy, którzy w tym roku przyjechali tu po raz pierwszy. Nie mogę więc tylko dlatego zaliczyć „pierwszoroczniaków" do tej ostatniej grupy. Byłoby to bardzo niesprawiedliwe i krzywdzące. Jest też grupa instruktorów, którym obojętne czy jest to akcja centralna, czy to zwykły obóz. Czują się tu po prostu dobrze, chcą być w Bieszczadach, choćby ze względu na walory czysto klimatyczne – i to im wystarcza. Podobnie nie można oceniać poszczególnych stanic. Każda stanica to inni ludzie, inne warunki. Owszem, są stanice bardzo dobre, w których wszystko gra, m.in. stanica opolska, stołeczna, gdańska, Ministerstwa Komunikacji, łódzka, katowicka, kielecka, ale nie można powiedzieć, że pozostałe nie robią nic lub niewiele. Na pewno harcerze robią wszystko, by dorównać tym najlepszym i to im się udaje. Wiele stanic w tym roku pracuje bardzo dobrze. Oczywiście są takie, które pracują tylko na swój użytek, ale są i takie, które dają coś całej Operacji. Na przykład kielecka organizuje dla wszystkich Jarmark Artystyczny.

● ***Znamy już zdanie druha komendanta na temat kończącej się Operacji „B-40", a także wyobrażenia co do następnych lat. Czy – reasumując – na przyszłość harcerzy w Bieszczadach możemy patrzeć optymistycznie?***

– Na pewno tak.

Elżbieta Wojtysiak „Stanica"

(Biuletyn Informacyjny Harcerskiej Operacji „Bieszczady-40")

Fot. **Marcin Michalewicz**

Z hm PL Krzysztofem Piotrowiczem, zastępcą naczelnika ZHP, komendantem operacji „Bieszczady-40"

O czasie, ludziach i zamierzeniach

rozmawia Elżbieta Wojtysiak

By lasy nie płonęły...

CIESZ SIĘ I... BĄDŹ OSTROŻNIEJSZY!

(Inf. wł.). *„Dzieci (młodzież) plus zapałki – równa się pożar".* To stare powiedzenie na tyle wciąż jest popularne, że – zda się – musiało chyba się sprawdzić. Innymi słowy – jest prawdziwe. Szkoda jednak, że nie ma podobnego powiedzenia dotyczącego dorosłych... Bo oto z danych, zaprezentowanych niedawno dziennikarzom w Zarządzie Głównym Ochotniczych Straży Pożarnych, wynika, że nieostrożność nieletnich była w ciągu 6 pierwszych miesięcy tego roku przyczyną tylko 2,6 proc. wszystkich pożarów leśnych, jakie w tym czasie miały miejsce. Tymczasem nieostrożność dorosłych spowodowała aż 45,8 proc. pożarów! W latach 1982–83 proporcje te układały się podobnie. Co prawda – dla około jednej czwartej (a w zeszłych latach dla większej liczby) pożarów leśnych nie udało się ustalić przyczyn, więc nie wiemy czy w ich powstaniu nie mieli swego udziału owi „nieletni"; no, ale to samo pytanie nasuwa się w odniesieniu do dorosłych...

Co więcej – strażacy w swym materiale zaznaczają, że młodzi ludzie mają spory udział w sprawowaniu patroli przeciwpożarowych, że wręcz *„stanowią istotne ogniwo w ochronie lasów przed pożarami"*. Mowa tu zwłaszcza o patrolach harcerskich! No cóż – chwali się!

Ale podano nam też inną wiadomość. Oto pewnego wiosennego dnia w lasach Śląska zanotowano znaczny wzrost liczby pożarów. Okazało się, że był to... dzień wagarowicza. Może więc młodzież, obciążona nauką, nie ma po prostu czasu, by zabawiać się ogniem i stąd tak korzystna dla niej statystyka, zaś gdy tylko ma czasu więcej, to zaraz... staje się aktualne stare powiedzenie, cytowane na początku? Wierzymy, że tak nie jest i liczymy, że np. jesiennemu pieczeniu kartofli będzie towarzyszyła wzmożona przeciwpożarowa czujność! Jest to tym ważniejsze, że u progu jesieni zanotowano znów katastrofalny wzrost liczby różnych klęsk ogniowych, w których powstawaniu, mamy nadzieję, udział nastolatków był równie mały, jak wiosną! **(tok)**

Czy są tu dzikie dziki?

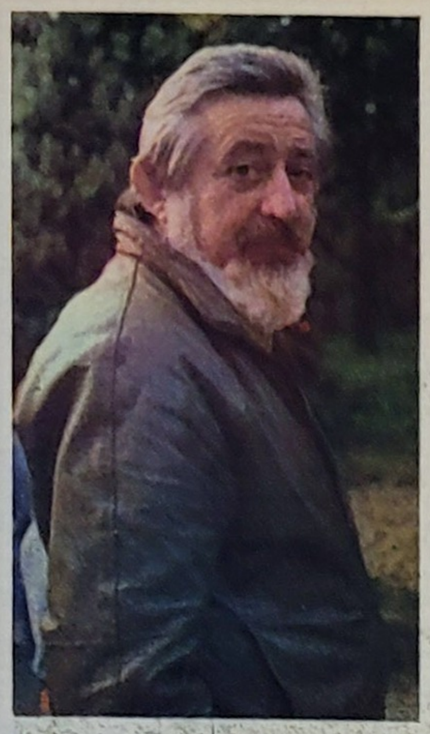

Pan dyrektor Henryk Włodarczyk twierdzi, że Spała jest dobra na wszystko

Dzik jest dziki, dzik jest zły,
Dzik ma bardzo ostre kły,
Kto spotyka w lesie dzika
Ten na drzewo przed nim zmyka...

Znacie ten wierszyk? Pewno znacie i wierzycie poecie. My, przyznajemy, też wierzyłyśmy bez zastrzeżeń do czasu, gdy tego lata znalazłyśmy się w Spale. Ale zanim o dzikach, najpierw trochę o...

O starym młynie

Główną drogą można przejść Spałę w kilka minut. Poukrywane w drzewach domy wczasowe tworzą niewielkie miasteczko. Stacja benzynowa, skromny pawilon gastronomiczno-handlowy i drewniany kościółek – ot i cała miejscowość. Spała oddalona o 120 kilometrów od Warszawy, 60 od Łodzi i 10 od Tomaszowa Mazowieckiego, przez cały rok jest chętnie odwiedzana przez turystów i wczasowiczów. Piękne lasy, pozostałość starych puszcz, w miarę czyste wody pobliskiej Pilicy czynią Spałę niezwykle atrakcyjną, szczególnie dla tych, którzy mają dosyć wielkomiejskiego zgiełku.

W przewodniku z 1926 roku czytamy, że nazwa miejscowości pochodzi od nazwiska założyciela osady, Michała Spały, który na przełomie XVI i XVII wieku osiedlił się w tych lasach, budując nad wodami Pilicy młyn. Młyn Spały znajdował się tu aż do 1880 roku. Teraz zostały stawidła, staw i bystry strumień. Oprócz młyna była też w Spale karczma. Furmani, kupcy i chłopi jadąc z Tomaszowa do Inowłodza chętnie zatrzymywali się tutaj na odpoczynek oraz kufel piwa lub przedniego miodu.

O wielkich polowaniach...

Spała ze względu na wspaniałe lasy obfite w zwierzynę była też od najdawniejszych czasów miejscem polowań. Władysław Jagiełło był w tych okolicach aż 23 razy, a Kazimierz Jagiellończyk – osiem. Polowano tu na niedźwiedzie, wilki, dziki, jelenie, a także na rozmaite ptactwo. Jak wielkim szacunkiem darzono miejsce królewskich polowań świadczy fakt, że mimo wielkiej atrakcyjności tych terenów, puszczy nie zasiedlono. Dopiero car Aleksander III, który również przybywał w spalskie lasy na polowania, zachwycony urokliwymi krajobrazami wybudował nad brzegami Pilicy drewniany pałac, który stał się miejscem pobytu carskich gości. Przybywających na łowy wielmożów witano i żegnano muzyką, zaś po skończonym polowaniu ustrzeloną zwierzynę układano na pałacowym trawniku, żeby carska rodzina mogła ją z balkonu podziwiać. Car i jego goście pozostawiali sobie tylko trofea – wspaniałe rogi jeleni, łosi czy danieli, darowując mięso i skórę oficjalistom, którzy z kolei sprzedawali je okolicznym włościanom. Rogi zaś, na których wypisywano miejsce i datę ustrzelenia oraz tytuł i herb myśliwego, stawały się ozdobą spalskiego pałacu. Dzisiaj niektóre z tych pięknych trofeów można podziwiać w jednej ze stylowych jadalni ośrodka wypoczynkowego FWP w Spale.

O wojennych zawieruchach...

Mijały jednak czasy wielkich polowań. Nadszedł rok 1914. Stacjonujące w Spale wojska rosyjskie wywiozły cenniejsze pamiątki z pałacu i wysadziły most na Pilicy. Opuszczoną Spałę zajęli Prusacy, którzy pałac i okoliczne domy zamienili na wojskowy szpital. Wojna najokrutniej dała się we znaki zwierzynie i lasom.

W okresie międzywojennym Spała stała się elegancką miejscowością wczasową, w której chętnie wypoczywali prezydenci Rzeczypospolitej. Z tego okresu pochodzi stylowy, drewniany kościółek, który zachował się do dzisiaj. Jego oryginalna architektura oraz piękno okolicy, w której został postawiony wykorzystano do nakręcenia kilku scen do filmu ,,Popioły", co zostało udokumentowane pamiątkowym napisem na jednej ze ścian.

Zanim to jednak nastąpiło, musiała Spała przeżyć jeszcze jedną, najokrutniejszą w naszej historii zawieruchę. Wrzesień 1939 roku i cała okupacja hitlerowska i tu pozostawiły krwawe ślady. Spalskie lasy stały się miejscem heroicznej walki oddziałów majora Henryka Dobrzańskiego, który przeszedł do historii jako major Hubal. Zginął w tych okolicach, lecz miejsce gdzie został pochowany okrywa do dziś tajemnica. Podobnie zresztą jak okoliczne bunkry, o których w Spale i okolicy krążą rozmaite legendy. Żaden śmiałek nie zapuścił się do wnętrza zwalonych, żelbetonowych konstrukcji, w większości zresztą zatopionych przez uciekających Niemców. Okupant zniszczył także spalski pałac. Zostały po nim tylko murowane fundamenty, dziś ledwo widoczne wśród zarośli. Śladem bytności niemieckiego okupanta jest też w Spale kilka budynków wybudowanych w latach czterdziestych, w których leczyli się i wypoczywali niemieccy lotnicy. Teraz zamieniono je na domy wypoczynkowe, a w poniemieckim szpitalu znajduje się obszerna kawiarnia – miejsce wieczornych spotkań i zabaw wczasowiczów i okolicznych mieszkańców.

O dniu dzisiejszym...

Historia łączy się więc ściśle z dniem dzisiejszym Spały, czego dodatkowym potwierdzeniem jest wybudowany w 1983 roku Dom Pamięci Walki i Męczeństwa Leśników i Drzewiarzy. Jak dotąd jest to jedyny w Polsce obiekt muzealny poświęcony ludziom lasu, walczącym z niemieckim okupantem. Zbiory tego muzeum są na razie bardzo skromne, ale być może powiększą się po ogólnopolskim zlocie leśników i drzewiarzy, który odbędzie się w Spale we wrześniu tego roku.

O historii Spały można długo opowiadać. Najciekawiej jednak mówią o niej rodowici spalanie, jak choćby pan Ryszard Pająk, zastępca dyrektora ośrodka FWP. Wielu pracowników ośrodka urodziło się i wychowało w Spale. Miejsce pracy traktuje się tu jak własny dom, a kto raz znajdzie się w Spale, chętnie tu wraca. Nowy dyrektor spalskiego ośrodka, pan Henryk Włodarczyk, choć jest w Spale dopiero kilka miesięcy, twierdzi, że nigdzie nie czuł się tak doskonale jak tutaj, a podobno zwiedził pół świata. No cóż, potwierdza to tylko starą prawdę, że ,,cudze chwalimy, a swego nie znamy!"

Jak to jest z tym dzikiem?

Wróćmy do początkowego wątku naszej opowieści...

Było to kilka lat temu. Dzika świnia z małymi warchlakami przechodziła przez szosę. Niespodziewanie nadjechał samochód, kierowca nie zdążył zahamować. Na szosie została martwa locha, a małe dziczki w popłochu uciekły do lasu. Osierocone i głodne podchodziły wieczorami pod domy wczasowe, wabione zapachami z kuchni. Na razie były nieufne. Chwytały pozostawione przez wczasowiczów jedzenie i uciekały. Powoli jednak oswajały się i przywykały do zapachu i widoku ludzi, którzy przyjeżdżali, odjeżdżali. Tymczasem dziki rosły, stawały się samodzielne. Nie rezygnowały jednak z wczasowej kuchni. Wkrótce znowu pojawiły się małe dziczki, które przychodziły tu ze swoimi oswojonymi rodzicami. I tak już pozostało.

Do dzisiaj dziki zjawiają się codziennie przed wczasową jadalnią. Klara, tak nazywa się mama-dzik, którą spotkałyśmy, bez lęku plądruje ze swymi pociechami trawniki i rabaty kwiatowe, niewiele sobie robiąc z tłumów ludzi i okrzyków dyrektora, załamującego ręce nad zrytymi kwietnikami. Po skończonej kolacji liczna rodzina dzików spokojnie układa się na odpoczynek wśród ławek i drzew ośrodka, chętnie pozuje do pamiątkowych zdjęć z wczasowiczami. Kto widzi taki obrazek po raz pierwszy, z niedowierzaniem przeciera oczy. No bo gdzież jest ten dziki, zły dzik, przed którym każdy czmyha na drzewo? Na pewno nie w Spale, choć oczywiście nawet wobec Klary i jej dzieci trzeba być ostrożnym. Tak na wszelki wypadek!

Jeśli będzie Wam po drodze, wpadnijcie do Spały, zobaczcie jak się miewa dzicza rodzina.

ELŻBIETA SIDORKIEWICZ
Fot. **Maryla Zieleniewska**

Plastikowy kabriolet pana Loski

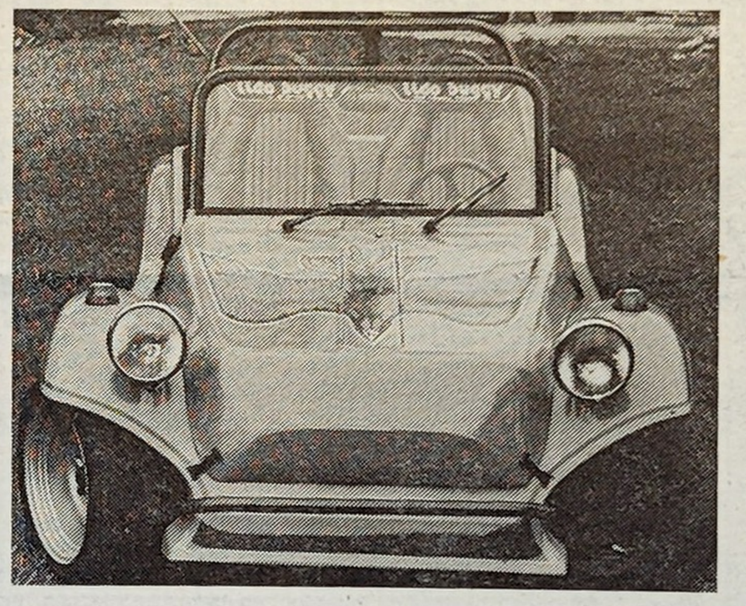

Czytelnicy wyświetlanego właśnie w TV serialu, opartego na powieści Zbigniewa Nienackiego, zapewne dobrze pamiętają jego głównego bohatera. Kimże jednak byłby Pan Samochodzik bez swojego dziwacznego pojazdu? Posłuszny swemu właścicielowi wybawiał go wszak z niejednej opresji...

Piszę o tym nie bez powodu, są bowiem także wśród nas ludzie, dzięki którym stare, zdezelowane automobile zaczynają świecić nowym blaskiem. Jednym z nich jest katowicki plastyk – pan Piotr Loska. Pięć lat temu kupił on kilkunastoletniego, skorodowanego Volkswagena, w którym jedynie silnik, rama i zawieszenie nadawały się do dalszego użytku. Żeby jeździć należało kupić zupełnie nową karoserię. Początkowo chciał nawet tak zrobić, jednak trudności, na jakie natknął się poszukując niezbędnego elementu, zniechęciły go.

– A może by tak – pomyślał – zamiast w typowe, wyposażyć auto w oryginalniejsze nadwozie?

Przeglądając prospekty i katalogi wielu renomowanych firm natrafił na model kabrioletu, który szczególnie mu przypadł do gustu. Usiadł więc przy stole w swojej pracowni i zaczął szkicować. Stopniowo wyłaniał się przyszły kształt karoserii. Ale był to dopiero początek. Prawdziwa ,,polka" zaczęła się w chwili, gdy przyszło do konstruowania formy. Wspólnie z bratem i kuzynem wykonali ją z drewna. Byłoby to właściwie rzeźbienie, gdyby nie fakt, że wiele poszczególnych elementów należało ze sobą skleić, tak by stanowiły jedną całość. Wykonanie samego odlewu nie przedstawiało już takich trudności. Najwięcej kłopotów było jednak ze zdobyciem surowca...

– Uganiałem się po sklepach w poszukiwaniu laminatu, żywicy poliestrowej i waty szklanej. Po wielu perypetiach, gdy zgromadziłem już niezbędny materiał, odlaliśmy pierwszy model. Pasował idealnie. Później pracowałem nad każdym detalem oddzielnie. Dopasowywałem szybę przednią i deskę rozdzielczą. Wszystkie elementy wykonałem z dostępnego na rynku tworzywa...

Kiedy po raz pierwszy ,,Lido buggy" wyjechał na ulice Katowic, od razu wzbudził sensację. Odkryty samochód jeździ po dziś dzień po drogach województwa katowickiego. Spisuje się nienagannie. Jego właściciel nie poprzestał jednak na tym. Ostatnio skonstruował nowy, doskonalszy model kabrioletu. Wykonał go w ten sam sposób. Ulepszenia dotyczyły tylko zmiany kół i świateł. Koła wraz z ogumieniem kupił w jednej z firm polonijnych w Bielsku-Białej, reflektory natomiast i tylne światła nabył prywatnie. Nowy kabriolet pana Piotra jest znacznie lżejszy od poprzedniego, a jego dodatkową zaletą jest mniejsze zużycie paliwa. Być może za kilka tygodni przejedzie swym najnowszym pojazdem ulicami Katowic, wzbudzając znów powszechny podziw dla swojej zaradności...

(kk)
Fot. **Z. Bisanz**

Na zdjęciach: ***Najnowszy model kabrioletu pana Loski, noszący nieco tajemniczą nazwę ,,Lido buggy"***

PO CO PUSTELNIKOWI UKWIAŁ NA DACHU?

Każdy na pewno słyszał o osobliwych, małych, morskich zwierzętach nazywanych rakami pustelnikami. Jest ich wiele gatunków i wszystkie cierpią z tego samego powodu. Inne kraby opancerzone są od stóp do głów ochronną skorupą, pustelniki zaś tak okryte są tylko do odwłoka. Ukrycie przed zakusami wrogów tego smakowitego, pulchnego kąska, stało się sprawą życia i śmierci dla owych zwierząt.

Gdy natura poskąpiła ochrony, trzeba samemu ją sobie zapewnić. Dlatego właśnie raki pustelniki wprowadzają się do opuszczonych muszli. Ich giętki odwłok potrafi się doskonale przystosować do krętego mieszkania, mały, haczykowaty wyrostek na końcu ciała kraba pozwala przyczepić się do wewnętrznej ścianki muszli. Co pewien czas, gdy podrośnie, przeprowadza się do nieco obszerniejszej „nieruchomości".

Jeszcze bardziej zadziwiający jest sposób, w jaki ten mały skorupiak ozdabia swój dom jakimś ukwiałem. Słowo „ukwiał" może wprowadzić w błąd. Wydawać by się mogło, że to roślina, a to w każdym calu jest zwierzę, tak jak np. stułbia, zaliczane do jamochłonów. Ukwiały to organizmy osiadłe, o dość prostej budowie. Można wyróżnić trzy części ich ciała: stopę zaopatrzoną w silną przyssawkę, którą przyczepia się do podłoża, cylindryczny, mięsisty trzon i na jego szczycie wieniec nieustannie falujących czułków, otaczających otwór gębowy.

To niewinnie wyglądające, barwne zwierzątko jest bezwzględnym myśliwym. Delikatnie zabarwione czułki uzbrojone są w miliony mikroskopijnych, trujących strzałek-parzydełek. Gdy tylko jakieś żyjątko wpłynie w ich zasięg, jest natychmiast porażane trucizną i wkładane do nienasyconej gęby.

Dziwna to para – skorupiak i ukwiał, zwierzęta o całkowicie odmiennych obyczajach. Jaki interes może mieć krab w taszczeniu tego dodatkowego i dość niebezpiecznego ładunku? Jakich przyjemności doznaje nieruchliwy ukwiał w nieustannych podróżach? W każdym przypadku, jak się wydaje, przynajmniej jedna ze stron dąży do tego specyficznego zjednoczenia.

Weźmy przypadek *Calliactis parasitica*, delikatnie ubarwionego ukwiału, spotykanego na muszlach raków śródziemnomorskich. Skorupiak cierpliwie nakłania ukwiał do oderwania się od podłoża i do przeniesienia się na plecy kraba. Żeby to osiągnąć, pustelnik zasypuje ukwiał tysiącem karesów, dotyka go, obejmuje szczypcami, podszczypuje w brzeg stopy. Pod wpływem zalewu czułości, dosłownie podrywane zwierzątko, po chwili wahania, najpierw kilkoma czułkami, potem całym wieńcem przyczepia się do muszli raka. Stopa wolno odrywa się od dna i osiada na pancerzu (zastępczym) skorupiaka, na zajętej przez niego muszli. Potem ukwiał prostuje się i jest gotowy do drogi.

Czyżby pustelnik-esteta trafił na ukwiała-podróżnika?

Czy lokując ukwiały na swym domostwie, pustelnik zaspokaja swoje potrzeby estetyczne? Wydaje się, że wysiłki skorupiaka wynikają z bardziej praktycznych celów. Muszla nie stanowi stuprocentowej zapory przed zakusami rozgwiazdy czy innego morskiego drapieżnika. Ukwiał zaś nie tylko służy do ozdoby. Znakomicie maskuje dom „tragarza", oraz bolesnymi dotknięciami czułków skutecznie przepędza zbyt natrętnych ciekawskich. Tak więc, porywając ukwiały skorupiak kieruje się wyłącznie własnym interesem.

Bywa też tak, że pierwszy krok ku przyszłej zażyłości należy do jamochłona. Gdy tylko potrąci go jakiś krab, natychmiast przesiada się na jego muszlę. Oczywście nie robi tego jednym skokiem – hyc – i już siedzi, tylko powoli systematycznie zajmuje miejsce na swym wierzchowcu. Nie czyni tego z zamiłowania do przejażdżek. Działalność myśliwska pustelnika, ciągłe zmiany miejsca, dostarczają mu niezwykle wielu okazji do łatwego żywienia się. Różne morskie żyjątka same wpadają mu do gęby. Może także korzystać z ochłapów z pańskiego stołu, gdy krab łapczywie pochłania swą zdobycz.

Tak więc, wiele gatunków pustelników i wiele gatunków ukwiałów łączy się w rodzaj „małżeństwa z rozsądku". Lecz spotyka się także bardziej subtelne związki. Najbardziej znany jest związek kraba *Pagurus prideauxi* z ukwiałem *Adamsia palliata*.

O dach nad głową trzeba dbać!

Krab ten jest mało wybredny jeśli chodzi o wybór muszli na przyszły pokrowiec na odwłok. Może być dziurawa czy złamana, wszystko jedno. Najważniejsze, aby przy sposobności zawładnąć jednym *Adamsia palliata*. Napotkawszy go na swej drodze, krab opisanym wcześniej sposobem przesadza to barwne zwierzątko na zajętą wcześniej przez siebie muszlę. Tam ukwiał... zmienia swój kształt! Rozpłaszcza się, owalny wieniec czułków rozciąga się w szeroki jakby uśmiech zadowolenia, stopa dwoma płatami bocznymi otacza całkowicie muszlę. Od tej chwili krab nie musi martwić się o nowe locum. Gdy podrośnie, stopa ukwiału rozciąga się, tworząc dookoła skorupiaka rodzaj sztywnej tuniki czy opończy.

Podpułkownik Stuart Wortly obserwował obyczaje tej pary i opisał je w 1863 roku. *„Widziałem kraba łapczywie zajadającego podrzucony przeze mnie kawałek mięsa. Drugi kawałek też zjadł, właściwie wchłonął. Za trzecim razem byłem przyjemnie zaskoczony. Ogromnymi szczypcami krab włożył mięso wprost do gęby ukwiału. Po pół godzinie tak samo postąpił z czwartym kawałkiem. Za każdym razem, gdy go karmiłem, stwierdzałem, że gdy sam się najadł, karmił ukwiał."*

Bardzo to wzruszające, lecz nikt tego nie potwierdził. Ba, inni specjaliści zaobserwowali coś całkiem przeciwnego. Nie tylko skorupiak nie karmi swojego *Adamsia palliata*, ale, o zgrozo! wywleka mu z gęby jego własny łup! Jakby nie patrzeć na te sprzeczne informacje, wynika z nich jedno: i między zwierzętami niższymi istnieją związki, nawet dość ścisłe, umożliwiające obu partnerom przetrwanie. Jedno jest niezmiernie interesujące: jak wyglądało pierwsze spotkanie prakraba z pra-ukwiałem, jak doszło do wykształcenia tak osobliwej formy współpracy?

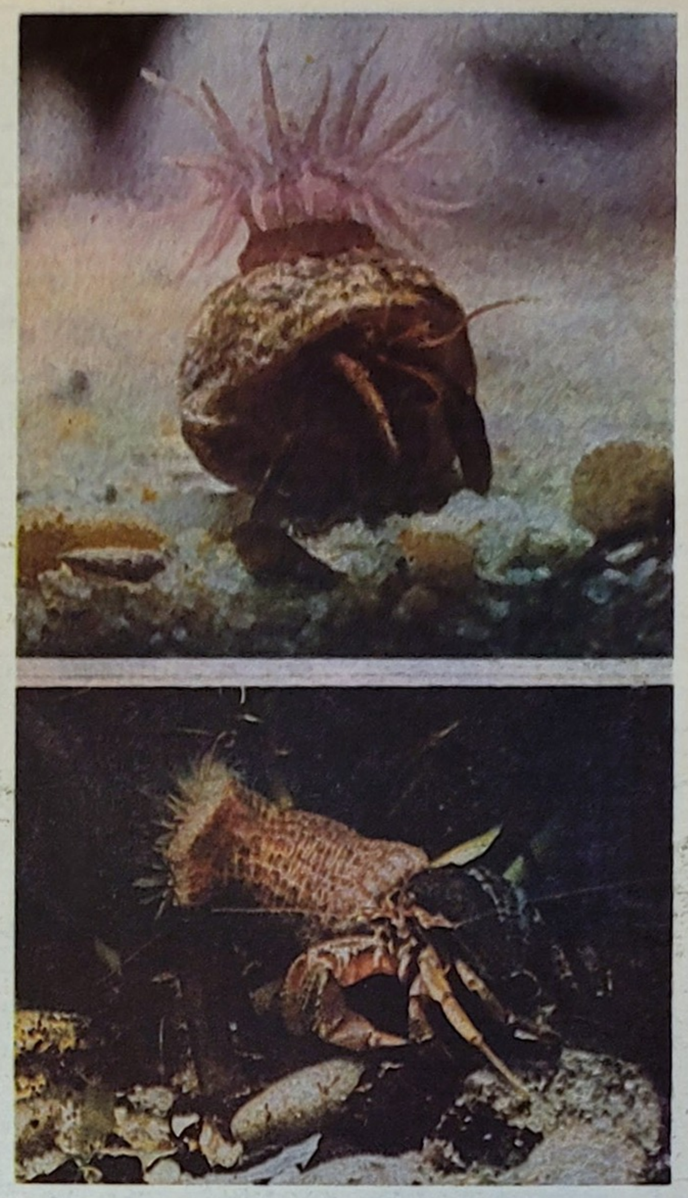

WOJCIECH CICHAŃSKI
Fot. *„Science et vie"*

ŻAGLE i TEATR

To właśnie Józef Komandera i „Stawima"

Z pokładu „Stawimy" widać pola, łąki, pobliskie zabudowania – całe rodzinne strony pana Józefa Komandery. Teraz „Stawima" jest wrakiem, ale była jachtem o oryginalnej nazwie utworzonej z trzech pierwszych sylab imion córek pana Józefa: Stasi, Wisi i Maryli. „Stawima" jak i inne łódki pana Józefa powstawały tu, przy domu, w ogródku.

A wszystko zaczęło się bardzo dawno temu, jeszcze przed wojną, gdy miał zaledwie kilkanaście lat. Przeczytał wówczas „Robinsona Cruzoe" Daniela Defoe, i ta lektura wywarła na nim ogromne wrażenie. Było to, jak sam mówi – przecudne, barwnie ilustrowane wydanie pobudzające wyobraźnię i dające namiastkę wielkiej przygody. Potem były książki o piratach południowych mórz, a ulubioną postacią był kapitan Blood. Morze wydawało się niesłychanie tajemnicze i fascynujące. Ojciec – kolejarz dość wcześnie odkrył ciągotki syna, a że posiadał tzw. bilet wolnej jazdy zdecydował się pokazać chłopcu obiekt jego marzeń. Skrawek polskiego wybrzeża oczarował chłopaka. Wszystko go ciekawiło i intrygowało. Zobaczył budujący się port gdyński, statki stojące na redzie, dźwigi przenoszące ładunki...

Po powrocie, nic nikomu nie mówiąc, na kawałku sklejki narysował ołówkiem kontury swej pierwszej łodzi. Miał to być kajak żaglowy. Później z desek sklejki bez znajomości sztuki szkutniczej skonstruował sześciometrowej długości kadłub. Kiedy „Mewa" była już gotowa, przewieziono ją z rodzinnego Imielina (obecnie dzielnica Mysłowic) na brzeg pobliskiej Czarnej Przemszy. Tam dopiero zaczęło się prawdziwe pływanie. – Nie miałem pojęcia o żeglowaniu, a mimo to już po kilku dniach potrafiłem samodzielnie wykonywać najprostsze zwroty – opowiadając o tym pan Józef uśmiecha się do wspomnień, jakby chciał raz jeszcze zapuścić się na swojej „Mewie" aż na Wisłę.

Wojna pokrzyżowała mu plany, udaremniła zamierzony spływ Wisłą do Gdańska. Łódka została schowana w szopie, a z żagli mama uszyła koszule.

Po wojnie chłopięce tęsknoty odżyły z nową siłą. Wprawdzie z biegiem lat przybyło panu Józefowi obowiązków – ożenił się, na świat przyszły dzieci, a i praca zawodowa absorbowała go na tyle, że na ulubione zajęcie nie pozostawało zbyt wiele czasu, to jednak żądza poznawania świata nie słabła. Wkrótce więc na jeziorze Paprocańskim pojawiła się kolejna „Mewa", nazwana tak na pamiątkę pierwszej, która w czasie okupacji niestety poszła na rozpałkę. Nowa „Mewa" przez długie lata wiernie służyła swojemu konstruktorowi. Na niej to właśnie zdobywał pierwsze żeglarskie szlify, by z czasem zyskać patent sternika jachtowego. Myślał przecież o dalszych wyprawach.

Z biegiem lat udoskonalał też technikę budowy łodzi. Z ogródkowej pochylni schodziły kolejno: okrągłodenna „Czajka", płaskodenna „Czapla", „Pigmej" i „Delfin". Wszystkie pływały po paprocańskim akwenie, a ich budowniczy doskonalił swoje żeglarskie rzemiosło.

Pewnego dnia, kiedy budował „Albatrosa", pływającego później na Dzierżenie koło Gliwic, wpadł na pomysł, by przenieść swój warsztat szkutniczy pod dach. Sporządził więc plany i wzniósł szopę drewnianą, w której umieścił wszystko, co jest potrzebne do budowy łodzi. Na dodatek pod jedną ze ścian wybudował... scenę, a obok zaplecze. Tak więc w jednym pomieszczeniu znalazły się obok siebie i stocznia, i teatr, gdyż teatr obok pływania był od dawna jego pasją. Jeszcze we wrześniu 1939 roku, kiedy na Śląsk wkroczyli Niemcy i pozamykali wszystkie polskie szkoły, pan Józef wraz z kolegami postanowił ocalić przed zniszczeniem szkolny księgozbiór. Ten szacunek dla książki i słowa polskiego wyniósł z domu rodzinnego, w którym tak matka, jak i ojciec – powstaniec śląski, wpajali dzieciom miłość do ojczystego języka. Nauczycielki opuszczając Imielin klucze od szkoły zostawiły w domu Komanderów. Zadanie więc było przynajmniej pod tym względem ułatwione. Nocą podkradli się do szkoły i ocalili całą bibliotekę, ukrywając ją w domu pana Józefa. Przez całą okupację korzystano z tych książek, uczono się z nich, ale robiono to po kryjomu, w absolutnej tajemnicy, bo za to groziły surowe kary.

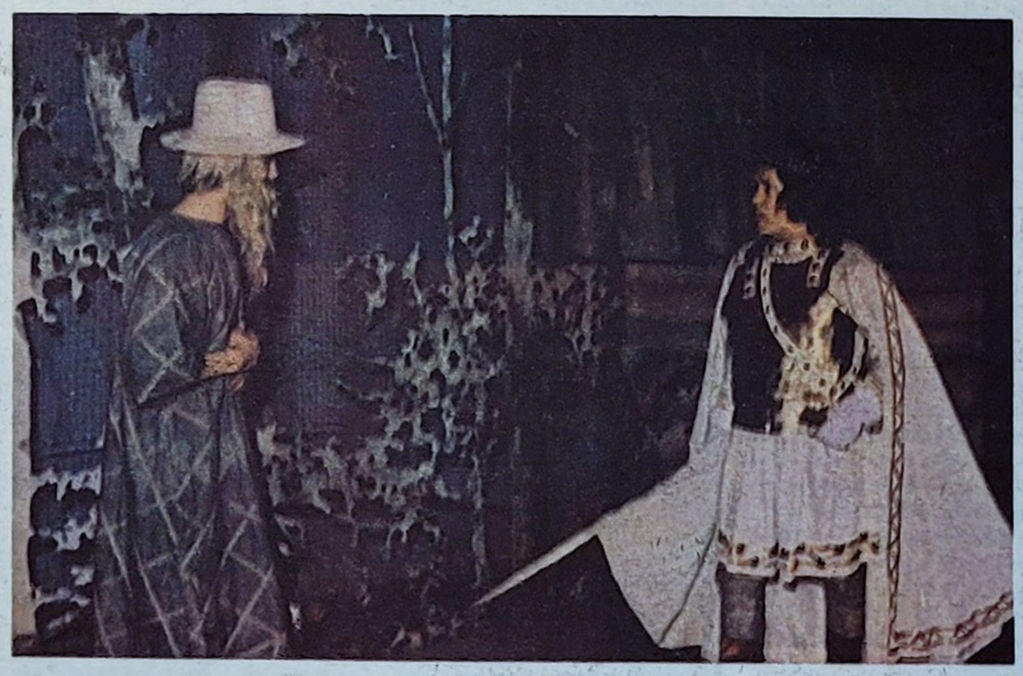

W „Balladynie" pan Józef kreuje rolę Kirkora

Fot. **Zbigniew Bisanz i archiwum**

Tuż po wyzwoleniu, właśnie na Śląsku najbardziej potrzebne było żywe polskie słowo. Imielin, podobnie jak większość miejscowości w Polsce, nie posiadał żadnej sceny, nawet amatorskiej. Dopiero pan Józef stworzył amatorski zespół teatralny. Tym poczynaniom patronowała Liga Obrony Kraju, a przedstawienia odbywały się najpierw na szkolnym korytarzu, a następnie w remizie Ochotniczej Straży Pożarnej. Pan Józef był w tym teatrze wszystkim: reżyserem, scenografem, kostiumologiem, charakteryzatorem, a także suflerem i inspicjentem, ale gdyby nie żona i jej zdolności krawieckie z pewnością spektakle nie miałyby tak wspaniałej oprawy. Początkowo grano sztuki Szaniawskiego: „Powódź" i „Most", „Ludowe jasełka" według Rydla, a także bajki i baśnie dla najmłodszej widowni. Zespół składający się głównie z członków rodziny pana Józefa stopniowo się rozrastał. Kiedy córki powychodziły za mąż, zespół zasilili ich mężowie. Można już było myśleć o klasyce. Wystawiono więc „Mazepę", a następnie „Balladynę" Słowackiego. Do teatru w szopie ściągała tłumnie ludność Imielina. Do zespołu poza bliskimi pana Józefa należą także młodzi górnicy, uczniowie, a także po prostu znajomi. Na próby dojeżdżają z Wesołej, Brzezinki, a nawet z Jaworzna. Złączyła ich wspólna pasja i chęć robienia czegoś dla ludzi, zupełnie bezinteresownie...

Kiedy w nowo wzniesionej „hali produkcyjnej" powstawać zaczął kadłub następnego jachtu, wiadomym się stało, że będzie to jednostka większa od dotychczas budowanych, i że jej konstruktor chce ją wypróbować na wielkich Jeziorach Mazurskich, a może nawet na Zatoce Gdańskiej. W budowie „Rybitwy" dzielnie pomagały mu wszystkie córki. Najmłodsza Maryla była niezastąpiona przy rozrabianiu kleju. Wisia i Stasia wspólnie z ojcem kładły żebra. Pan Józef sam kadmował gwoździe, cynkował wkręty, w dodatku „szplajsował", czyli robił splot na stalowej linie. Pięć sezonów pływała cała rodzina po Jeziorach Mazurskich, a armator myślał już o nowym jachcie. „Rybitwa" przeszła w harcerskie ręce, by pływać po Zatoce Gdańskiej, a konstruktor zabrał się do kolejnego przedsięwzięcia. Marzył o morzu. Chciał popłynąć przez Atlantyk i zobaczyć te wszystkie niezwykłości, o których czytał w młodości. „Stawima" zbudowana z dębiny, modrzewiowego drewna i sklejki wodoodpornej zwodowana została w Porcie Wojennym na Oksywiu. Ale, czy to w czasie transportu koleją poluzowały się spojenia poszycia, czy też od samego początku jacht był pechowy, dość, że

DOKOŃCZENIE NA STR. 7

Hanna Mikuć w filmie „Kobieta w kapeluszu"

Fot. CAF

GWIAZDOZBIÓR

Hanna Mikuć:

„W kostiumie czuję się lepiej"

– Główne role w „Nieciekawej historii" Wojciecha Hasa, „Pensji pani Latter" Stanisława Różewicza, jedna z głównych ról w „Widziadle" Marka Nowickiego. Nagroda im. Zbigniewa Cybulskiego przyznana przez „Ekran". Niewiele chyba młodych aktorek mogłoby powiedzieć: „to mój szczęśliwy rok"...

– Zawsze marzyłam o tym, aby jak najwięcej pracować i pod tym względem był to rok wyjątkowy. Nie sądziłam, że będę tak wysoko ceniona. Jest to dla mnie ogromny zaszczyt i wyróżnienie.

– Pani ostatnie role to portrety kobiet w dziewiętnastowiecznych kostiumach...

– Tak się do tej pory składało, że moje bohaterki występowały w długich sukniach, z anglezami. Ale powoli odchodzę od tych XIX-wiecznych ról. Ostatnio grałam w „Seksmisji" Juliusza Machulskiego, gdzie wystąpiłam w „mundurze" kobiety państwa przyszłości...

– Ale jednak nie w stroju współczesnej kobiety! Czy miałoby to oznaczać, że boi się Pani identyfikacji ze współczesnością?

– Dla mnie kostium nie jest ucieczką ani w przeszłość, ani w przyszłość. Nie jest żadnym atutem. W roli, którą gram, interesuje mnie przede wszystkim temat. Strój jest tylko dodatkiem dla wydobycia i podkreślenia cech charakteru bohatera. Grając postacie z epoki staram się zawsze wyeksponować problemy uniwersalne, przyswajalne dla współczesnego odbiorcy, aktualne także w dzisiejszych czasach.

– Czy film tak szczodrze obdarzający Panią propozycjami, dał Pani wreszcie szansę zagrania również roli współczesnej bohaterki?

– Tak. Obecnie występuję w filmie Stanisława Różewicza „Kobieta w kapeluszu". Gram młodą aktorkę, która czeka na swą zawodową szansę zagrania dużej i znaczącej roli. Jest to kobieta ambitna, kochająca swój zawód, jednocześnie uwikłana w kłopotliwe sytuacje życiowe, samotna, nie potrafiąca ułożyć sobie życia prywatnego. Ale i w tym filmie występuję także w scenach kostiumowych, ponieważ scenariusz zakłada fragmenty spektaklu teatralnego „Bal manekinów". I przekonałam się, że jednak przebrana w kostium czuję się lepiej niż przebrana w prywatne ubranie. W kostiumie jestem bardziej „schowana", nie boję się, że widz może mnie zacząć identyfikować z postacią, którą gram.

– W Pani dotychczasowych dokonaniach dominuje film, dorobek sceniczny jest dużo skromniejszy...

– To prawda. Na scenie grałam niewiele. Ale sama pani zauważyła, że zagrałam w czterech filmach w ciągu roku. Czasu na teatr nie starczyło. Oczywiście było różnie. Początki miałam dość trudne, ale ostatnio zagrałam Julię w „Romeo i Julii", przedtem jedną z głównych ról w „Brudach" Vaillanda, więc uważam, że nie ma powodów do narzekań. Rzeczywiście moja sytuacja zawodowa ułożyła się inaczej niż większości aktorów; oni częściej grywają w teatrze, rzadziej w filmie – ja odwrotnie.

– Ale teatr to widz...

– Tak. Kontakt ten jest dla mnie bodźcem do ciągłego dopracowywania roli. Ważny jest także wpływ publiczności na kształt przedstawienia – wszystko to, czego film dać nie może. Ale mnie na scenie brakuje napięcia, ryzyka, emocji towarzyszącej pracy na planie filmowym. I samodzielności.

– A gdyby miała Pani wybierać?

– Na taki wybór mogą pozwolić sobie tylko wielkie gwiazdy. Mając wysoką pozycję zawodową decydują się na odejście z teatru, by mieć większe możliwości wyboru najciekawszych ról. Ja natomiast mam jeszcze wiele do zrobienia. Nie chciałabym więc rezygnować z teatru. Uważam, że aktor, aby poczuł się w pełni aktorem, powinien się także sprawdzić na scenie.

Rozmawiała:
EWA KUREK (*Interpress*)

FOLK BURY

Te z Was, które mnie dłużej znają, wiedzą, że jestem gorącą zwolenniczką tzw. stylu folk czyli przebieranki w ciuchy pseudoludowe, ludowymi strojami inspirowane. I że od czasu do czasu gorąco Was do polubienia tego stylu namawiam (ostatnio było to w numerze 19 z dnia 14 lutego br.) Nie bez powodu – uważam bowiem, że jest to styl szalenie wdzięczny i bardzo dziewczęcy, z masą uroku... Te wszystkie falbanki, koronki, szczypanki i marszczenia, kwiatki i malownicze krateczki, hafty i lamówki itd... pasują każdej dziewczynie i na każdą okazję. Tak zawsze pisałam.

A dzisiaj – piszę na ten sam temat coś nieco innego. Nie znaczy to, że wszystko, co było poprzednio, z miejsca odwołuję. Po prostu jednak wystąpiło w tym stylu coś nowego. Coś, co nazwałabym – burowatość. I wykrzyknik trzeba postawić, oto on – ! Bo dotychczas styl folk kojarzył się z barwnością właśnie. A okazuje się, że może być całkiem inaczej. Może to nie jest zresztą najczystszy styl folk (ale gdzież dotychczas była jego czystość?!, wszak można było na jego kanwie fantazjować sobie do woli), czyli coś, czego dalekim przodkiem był strój ludowy. Przodkiem raczej był taki najzwyklejszy (nie świąteczny, bo na święto się owe barwne pasiaki i korale przywdziewało) strój zapracowanej chłopki. Byle jaka spódnica, byle jaki stary sweter i coś na głowę. Chustka oczywiście, ale także nasadzony szybko przy wyjściu z domu mężowski stary kapelusz.

I to jest właśnie to. To jest ten najmodniejszy bury folk. Marszczona bawełniana spódnica z nakładanymi kieszeniami z materiału jak najmniej kolorystycznie efektownego (gładki albo w jakiś całkiem drobniutki wzorek, np. minimalnie widoczna krateczka), rozciągnięty, przykrótki nieco pulower (także burasowaty w kolorycie) i na głowie bardzo stary kapelusz taty. Tak jak na zdjęciu. Spódnica oczywiście za kolana, w stylu folk nie ma mini.

No i...?! Efektowne to niby nie jest, ale..., ale modne i łatwo dostępne do wyczarowania.

Pozdrawiam!

RIUSZKA

DOM MODY
świata młodych

PRZED ŚWIĘTEM LATAWCA (4)

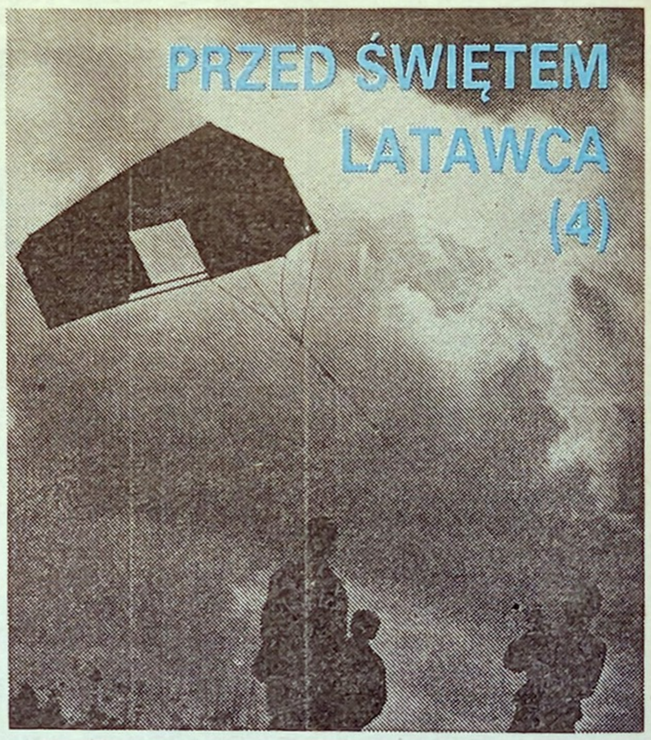

Na wszystkich zawodach, imprezach czy egzaminach zwyciężają przeważnie ci, co są dobrze przygotowani. Przypominam o tym znanym fakcie, bo i na imprezach latawcowych nie powinno nam zabraknąć nie tylko zimnej krwi, stalowych nerwów, ale i... odcinka zapasowego holu, tubki kleju uniwersalnego szybkoschnącego, noża, odcinka drutu, nici (zwykły kordonek wystarczy), przylepca, arkusika papieru do reperacji pokrycia i innych jeszcze drobiazgów, które mogą się przydać. Warto zatem przed wyruszeniem na start przemyśleć dokładnie co należy zabrać ze sobą, aby później niepotrzebnie się nie denerwować, że czegoś tam zapomnieliśmy i dlatego grozi nam przegrana.

Oprócz latawców starannie zapakowanych, tak aby się nie zniszczyły w transporcie, warto więc mieć swego rodzaju „apteczkę" ułatwiającą w wielu przypadkach szybką wymianę zepsutej części latawca czy jego naprawę. Przy pogodzie bezdeszczowej najlepiej transportuje się latawce bez opakowania, z odjętymi ogonami i linkami uwięzi. Obojętnie zresztą jak dostarczać będziemy latawce na miejsce startu, ważne aby dotarły tam w stanie nieuszkodzonym. Każdy ma na pewno jakiś własny sposób przenoszenia latawców. A wypróbowany wcześniej będzie najlepszy, najpewniejszy.

Co jeszcze warto zabrać do torby? Odcinek plastra opatrunkowego na pewno nie zaszkodzi, bo mimo istnienia na zawodach latawcowych odpowiednich punktów sanitarnych, może się zdarzyć, że drobne skaleczenie, otarcie naskórka np. o linkę holowniczą nastąpi w dużej odległości od fachowej pomocy. Wtedy radzimy sobie sami, nie lekceważąc nigdy najdrobniejszego nawet skaleczenia. W naszej „apteczce" nieodzowny będzie na pewno ołówek i kilka kartek papieru do zapisywania wyników własnych i zespołowych czy innych kolegów. Na tym kończę, życząc wszystkim uczestnikom Święta Latawca – 1984 jak najlepszych wyników.

PAWEŁ ELSZTEIN
zdjęcie: **B. Koszewski**

P.S. Już wkrótce zamieścimy na łamach „ŚM" sprawozdanie z Centralnych Zawodów Latawcowych.

ŻAGLE i TEATR

DOKOŃCZENIE ZE STR. 5

podczas wodowania zaczął nabierać wody i mało brakowało, by zatonął. Później jednak sprawował się dobrze. Wprawdzie jego budowniczy pływał na nim tylko po Zatoce Gdańskiej zachodząc do Helu, za to jacht aż przez trzy sezony pływał po Morzu Czarnym wychodząc także na Morze Egejskie. W końcu pozostawiony na zimę przy kei w Burgas bez właściwego zabezpieczenia zatonął rozbity podczas sztormu. Wydobyto go po miesiącu. Ogołocona z takielunku, bez żagli i osprzętu, zniszczona prawie całkowicie dotarła „Stawima" do swej stoczni. Rozbolało serce pana Józefa – nikomu przecież nie bronił korzystania z jachtu, ale żeby obejść się z nim tak bezceremonialnie... Tego nie mógł zrozumieć stary nauczyciel zawodu. Przyzwyczajony od najmłodszych lat do szanowania nie tylko swojej, ale i cudzej własności długo nie mógł przyjść do siebie po tym wstrząsie.

Na pochylni tymczasem powstawał nowy, pełnomorski jacht „Apti", jacht marzeń, który miał popłynąć przez Atlantyk, niestety bez swego konstruktora na pokładzie. Przeszkodą jest wiek. Sześćdziesiątka na karku, niestety. Twarde są przepisy żeglarskie... ale przecież są wyjątki. Pan Józef czeka więc na decyzję PZŻ. I ma nadzieję!

K. KRZYŚKÓW

INFORMACJE SPRZED MILIONÓW LAT

USA (PAP). Dawne organizmy mogą informować o obrotach naszej planety przed milionami lat. Amerykańscy uczeni z Uniwersytetu Stanu Kalifornia w Santa Barbara zainteresowali się stromatolitami – dziwnymi strukturami sprzed 850 mln lat. Stromatolity są to warstwowe struktury różnych prymitywnych organizmów morskich, a szczególnie dawnych glonów i alg. Uważa się, że warstwowość stromatolitów wynika z ich przyrostów dobowych. Jest ona związana z różnymi fazami życia wodorostów w ciągu dnia i nocy. Warstwy mają charakter jednolity, ale występują okresowe zgrubienia, co uczeni wiążą z położeniem Słońca w różnych porach roku. Jeśli przyjąć, że warstwy stromatolitów tworzyły się w ciągu kolejnych nocy i dni – to można obliczyć ilość dni słonecznych w ciągu roku.

Z CZASÓW, GDY BIAŁY PAN RZĄDZIŁ KALIM ZOSTAŁO MUZEUM... BATOGÓW

(PAP). W miejscowości Laplata w stanie Maryland (USA) znajduje się niewielkie muzeum obrazujące epokę, w której biały człowiek był panem o nieograniczonej władzy nad rzeszą czarnych niewolników.

Założycielem muzeum jest nauczyciel William Diggs, historyk, konsultant i wykładowca w college'u „Country School", którego 25 procent słuchaczy jest Murzynami.

W czasie lekcji pan Diggs posługuje się zazwyczaj oryginalnymi pomocami naukowymi, jak batogi, dyby, łańcuchy, itp. „przyrządy", którymi biali panowie poskramiali opornych niewolników.

Kilka razy do roku Diggs organizuje wycieczki do muzeum, zapoznając okoliczną młodzież nie tylko z eksponatami pochodzącymi z okresu niewolnictwa, ale również uzupełnia pokazy wykładami historii niewolnictwa i wzajemnych stosunków białych i czarnych Amerykanów.

W muzeum są interesujące dokumenty i rejestry z okresu niewolnictwa. Jeden z nich zawiera m. in. wykaz starych i chorych niewolników, którzy przepracowali wiele lat na plantacji, figurujących w rubryce „bezwartościowa siła robocza."...

JOWISZ – DRUGIM SŁOŃCEM

Jowisz – piąta według kolejności planeta naszego układu słonecznego – jest obiektem szczególnego zainteresowania astronomów. Niedawno wysunięto sensacyjną hipotezę, że Jowisz nie jest planetą, lecz niedokończoną gwiazdą. Radziecki fizyk, dr Suczkow z Uniwersytetu w Rostowie, zwrócił uwagę na dziwne zjawisko odkryte wcześniej przez astronomów amerykańskich. Jowisz wysyła więcej energii niż jej otrzymuje od Słońca. Ta gigantyczna planeta musi mieć własne wewnętrzne źródło energii – w jej jądrze zachodzą reakcje termojądrowe. Opracowano teoretyczny model budowy takiej planety. Według tej teorii we wnętrzu Jowisza powinna panować temperatura ok. 280 tys. stopni. Przy procesach powodujących powstawanie tak wysokich temperatur musi następować jednocześnie szybkie wydzielanie energii.

Jak wykazały prace teoretyczno-modelowe, reakcje takie muszą zachodzić dłużej niż istnieje nasz system planetarny. Wynika z tego, że Jowisz jest starszy od pozostałych planet. Jeśli jest starszy od innych planet – nie może sam być planetą, tylko gwiazdą. Skąd wzięła się gwiazda wśród zespołu planet? To zagadnienie usiłuje wyjaśnić inny radziecki uczony – dr Salimzibarow z Instytutu Badań Kosmicznych w Jakucku.

Zagadkę Jowisza można wyjaśnić – zdaniem Salimzibarowa – tylko w powiązaniu ze Słońcem. Z korony słonecznej wyrzucany jest bez przerwy w przestrzeń kosmiczną strumień energii i materii. Jest to tzw. wiatr słoneczny złożony z elektronów i protonów. Te naładowane energią cząsteczki od miliardów lat docierają do granic naszego układu słonecznego. Są one przechwytywane przez Jowisza. W ten sposób Jowisz, przechwytując cząsteczki słoneczne i materię kosmiczną, zwiększa swoją masę. Jest to istotny warunek, aby mógł stać się pełną gwiazdą. Oprócz tego przechwytując cząsteczki ze Słońca zwiększa swoje zasoby energetyczne. Czyli Słońce samo pomaga największej planecie przekształcić się w młodą gwiazdę. Przypuszcza się, że w ciągu najbliższych trzech miliardów lat może nastąpić zrównanie mas Słońca i Jowisza. Spowoduje to daleko idące zmiany naszego układu słonecznego. Powstanie podwójny układ Słońce–Jowisz. Za kilka miliardów lat Jowisz rozgrzeje się do tego stopnia, że zapłonie jak Słońce.

Trudno obecnie przewidzieć skutki takich zmian. Mogą zostać naruszone orbity planet. Możliwe, że Ziemia i Wenus w różnych okresach orbitalnego ruchu będą ciążyć na przemian to do Słońca, to do nowej gwiazdy. Najbliższy sąsiad Jowisza – Mars może zostać wciągnięty na orbitę nowej gwiazdy. Z Ziemi widać będzie dwa Słońca. Podwójne układy gwiazd są w kosmosie zjawiskiem dość pospolitym.

◀ ***Kiedy na niebie znajdują się dwa Słońca, często może dochodzić do takiego ich wzajemnego położenia, jak to przedstawiono na tym rysunku. Autor, J. Szwec zatytułował swój obraz: „Planeta dwóch słońc".***

Hipoteza, jakoby największa planeta układu słonecznego – Jowisz była niedokończoną gwiazdą, nie jest nowa. Opiera się na odkrytym zjawisku większej emisji energii niż otrzymuje jej od Słońca. A jest to właśnie typowe dla gwiazd. Byłbym jednakże ostrożny w wyrokowaniu o dalszym losie Jowisza jako potencjalnej drugiej gwiazdy w naszym układzie. Nie przekonująca jest teoria, według której strumień płynących ze Słońca cząsteczek (będący tzw. wiatrem słonecznym) może doprowadzić w przyszłości do przekształcenia się Jowisza w gwiazdę.

PREZES

Trzeci wahadłowiec „Discovery" na orbicie

23 sierpnia br. wystartował z Przylądka Canaveral na Florydzie trzeci z kolei amerykański wahadłowiec kosmiczny „Discovery" z 6-osobową załogą na pokładzie. W jej skład wchodzi amerykańska astronautka, 35-letnia Judy Resnik oraz 36-letni Charles Walker, z zawodu inżynier przemysłowy, pierwszy pasażer, którego koszty podróży zostały opłacone. W skład załogi wchodzą ponadto: dowódca Henry Hartsfield oraz Michael Coats, Steven Hawley i Richard Mullane.

Wkrótce po starcie do mającego trwać 6 dni lotu, wahadłowiec wszedł na planowaną orbitę.

Jak wiadomo, start wahadłowca „Discovery" był już trzykrotnie odkładany z powodu różnego rodzaju usterek technicznych. Pierwotnie zakładano, że „Discovery" wystartuje 25 czerwca br. Wobec znacznych opóźnień w realizacji wytyczonego na br. planu lotów, kierownictwo agencji NASA postanowiło podczas obecnej wyprawy zrealizować program przewidywany poprzednio na dwa loty.

I tak, w ładowniach „Discovery" znalazły się aż 24 tony ładunku, czyli najwięcej w porównaniu z dotychczasowymi ekspedycjami. Program lotu przewiduje m. in. umieszczenie na orbitach trzech satelitów telekomunikacyjnych: SBS-4, Leasat-2 i Telstar-3, wypróbowanie prototypu „żagla słonecznego" OAST-1", który w przyszłości może posłużyć do dostarczania energii elektrycznej stacjom orbitalnym oraz wyprodukowanie w warunkach nieważkości okrytego tajemnicą leku hormonalnego. Tym ostatnim zadaniem zajmie się Charles Walker, którego firma zapłaciła za jego podróż 80 tys. dolarów.

Warto przypomnieć, że podczas wcześniejszych lotów wahadłowców trzy satelity umieszczone z ich pokładów w przestrzeni kosmicznej nie osiągnęły planowanych orbit, co naraziło zleceniodawców NASA na duże straty finansowe. Wiele koncernów, w tym również amerykańskich, zwróciło się w tej sytuacji do „konkurencji" czyli Europejskiej Agencji Kosmicznej (ESA) i jej rakiety „Ariane".

VENUS – niepodobna siostra Ziemi

Planeta Wenus przez długi okres uważana była za siostrę bliźniaczkę naszej Ziemi. Obie planety są do siebie podobne pod względem masy i gęstości. Obie planety mają atmosferę, na ogół występują na nich aktywne zjawiska wulkaniczne – co świadczyć może o podobieństwie budowy ich wnętrza. Uważano więc, że Wenus przypomina Ziemię, tylko we wcześniejszym okresie rozwoju.

Pierwsze sondy międzyplanetarne wysłane w kierunku planety Wenus zmieniły radykalnie dotychczasowe poglądy. Pierwsze dokładne informacje o tej planecie pochodzą z sondy Wenus-4 własnej w 1967 roku. Okazało się, że mimo pozornych podobieństw Wenus nie jest bliźniaczą siostrą Zieni. Stwierdzono, że na Wenus panują bardzo wysokie temperatury – około 400–600°C. W tej sytuacji upadła z miejsca hipoteza o ogromnych morzach lub rozległych bagnach. Nawet w atmosferze Wenus nie natrafiono na większe ilości pary wodnej.

Wulkany istniejące współcześnie na Ziemi wyrzucają rocznie z wnętrza naszego globu ok. 10 mld ton materii – głównie płynnych skał typu bazaltowego, a także ogromne ilości gazów. Około 75-80 proc. wydzielanych gazów stanowi para wodna, ok. 10–20 proc. dwutlenek węgla, a resztę stanowią niewielkie ilości metanu, amoniaku i siarkowodoru.

Obliczono,, że w ciągu 4,5 mld lat istnienia naszego układu słonecznego wulkany na Ziemi i Wenus wydzieliły podobne ilości pary wodnej, dwutlenku węgla i azotu. Na Ziemi powstały później oceany. Co stało się z parą wodną na Wenus?

Ogromne ilości dwutlenku węgla na Ziemi zostały uwięzione w wyniku reakcji chemicznej w różnych skałach osadowych zwanych karbonatytami – w dolomicie, kredzie, marmurze, a w późniejszych okresach zostały przyswojone przez rośliny. Gdyby ten dwutlenek węgla uwolnić, mielibyśmy na Ziemi wenusjańską atmosferę. Kolejne sondy wenusjańskie miały za zadanie znaleźć ślady pary wodnej w atmosferze lub na powierzchni tej planety. Przypuszcza się, że pod wpływem promieniowania słonecznego para rozpadała się na tlen i wodór. Tlen związał się chemicznie w skałach, a wodór uciekł w kosmos.

Dopiero sondy Wenus-13 i Wenus-14 ujawniły obecność pary wodnej w atmosferze. Występuje ona nierównomiernie, a jej koncentracja wynosi od tysięcznych do dziesiątych części procenta. Struktura wenusjańskiej atmosfery jest nieco podobna do ziemskiej, ale całkowicie różni się pod względem chemicznym. Obok nie wyjaśnionego dotąd braku pary wodnej zaobserwowano inne dziwne zjawisko – mianowicie znacznie większą koncentrację gazów szlachetnych. Tak np. argonu jest na Wenus 100 razy więcej niż na Ziemi. Być może ta koncentracja powstała już w czasie formowania się planety z pierwotnego obłoku materii. Stwierdzono, że wpływ na ukształtowanie atmosfery Wenus mają często silne wybuchy wulkanów.

Emitują one ogromne ilości pary wodnej – i nie wiadomo co się z nią później dzieje.

– Masz przecież jakichś opiekunów, krewnych – perswadowała Róża. – Czy wiesz, jak bardzo się martwią, jak są niespokojni? Szukają ciebie.

– Nie ma nikogo.

– A Mademoiselle?

– Mademoiselle wyjechała.

– Więc kto się tobą zajmował?

– Aneta. Ona jest zła. Nie lubi mnie. Ona nikogo nie lubi, uśmiecha się tylko do stangreta.

– Słuchaj Melu, musisz koniecznie powiedzieć mi swoje nazwisko. Inaczej nie potrafimy odszukać mamusi. Powiesz mi wszystko, dobrze?

– Nie.

– Dlaczego?

– Bo zawieziesz mnie do domu, a ja nie chcę.

– Czy tatuś długo chorował? – Róża starała się zachować jak największy spokój.

– Tatuś nie chorował, tatuś umarł. Leżał bez ruchu i nic do mnie nie mówił. Nie patrzył na mnie, miał zamknięte oczy, nie chciał na mnie patrzeć...

– A mamusia? Czy była wówczas w domu?

– Mamusia płakała i wołała „co teraz z nami będzie". Bardzo płakała. Nie chciała odejść od tatusia, ale zabrano ją...

– Kto mamusię zabrał?

– Boję się. Mnie też mogą zabrać. Nie dasz mnie, prawda?

– Melu, kochanie, nie lękaj się niczego. U mnie nikt ci nie zrobi krzywdy. Chciałabym tylko wiedzieć... Widzisz, z pewnością ktoś ciebie szuka, dano znać policji... Mogłabym mieć nieprzyjemności...

– Nieprzyjemności? Dlaczego?

– A jeżeli ktoś pozna cię na ulicy, gdy będziemy szły razem?

– Nie wyjdę na ulicę.

– Nie możesz żyć w zamknięciu. A co powiem dozorczyni, jak mnie zapyta? To ciekawska.

– Powiesz... powiesz, że przyjechałam do ciebie w gościnę.

– Dobrze, dobrze. Widzę, że chwilowo nie dojdziemy do porozumienia. Wiem jednak, że namyślisz się i powiesz mi wszystko. Jesteś przecież rozsądną dziewczynką.

– Chcę zawsze być z tobą. A ty ciągle wychodzisz.

Gdy Mela już spała, Róża jak zwykle u Zeili poszukała rady i pociechy.

– Obawiam się kłopotów, wielkich kłopotów – Zelia nie ukrywała niezadowolenia. – Należałoby dowiedzieć się, kto ze znaczniejszych Polaków umarł w tych dniach. Nie ma rady. Musisz pójść do Grabskiej, to jedyna osoba, która wszystko wie, tylko ostrożnie z nią, bardzo ostrożnie.

O tak. Z panią Grabską należało rozmawiać wyjątkowo ostrożnie.

Mela siedziała na podłodze w pokoju Dziadusia obłożona rocznikami „Rozrywek dla dzieci", pisma, które wydawała niegdyś nieodżałowanej pamięci pani Klementyna z Tańskich Hoffmanowa. Nie tylko Róża wychowała się na jej książkach, dla paru pokoleń emigracyjnej dzieciarni była to czasem jedyna okazja, by się nauczyć dobrze czytać po polsku.

– Mam wszystkie książki hrabiny de Ségur – opowiadała Mela – z bardzo ładnymi obrazkami. Ale ich nie lubię. Dzieci są tam albo okropnie nieszczęśliwe, albo strasznie złe. „Niedole Zosi", „Biedny Błażejek", „Wzorowe dziewczynki" bardzo mnie nudziły. Lubiłam za to „Aniołeczka", tę podłą złośnicę Giselę. Chętnie wybiłabym ją za te głupie psoty. Pamiętasz, jak drażniła niedźwiedzia zamkniętego w klatce, a potem krzyczała z przerażenia, gdy biedny zwierz przez pręty chwycił ją za sukienkę?

– Doskonale pamiętam. Uwolnił ją żandarm, szablą rozcinając spódniczkę. Jest tam taka rycina.

– Najbardziej podobają mi się książki polskie – zdecydowała Mela. – Przeczytam wszystkie, jakie masz. Już wychodzisz? Tak wcześnie? – zerwała się widząc przygotowania opiekunki, która brała właśnie kapelusz.

– Muszę odwiedzić starą znajomą Dziadusia, ale wrócę jak zwykle na kolację. – Jutro sobota – dodała – będzie już Antoś w domu.

– Antoś...

– Mój brat, znasz go przecież. A może i ty masz rodzeństwo?

– Nie. – Mela kilkakrotnie potrząsnęła głową. – Zawsze bardzo chciałam mieć braciszka czy siostrzyczkę. Ale nie miałam. Tylko tatuś, mamusia i ja.

Cdn.

TAJFUN

ZAGADKA UKŁADU C-2

Scenariusz i rysunki
Tadeusz Raczkiewicz

8

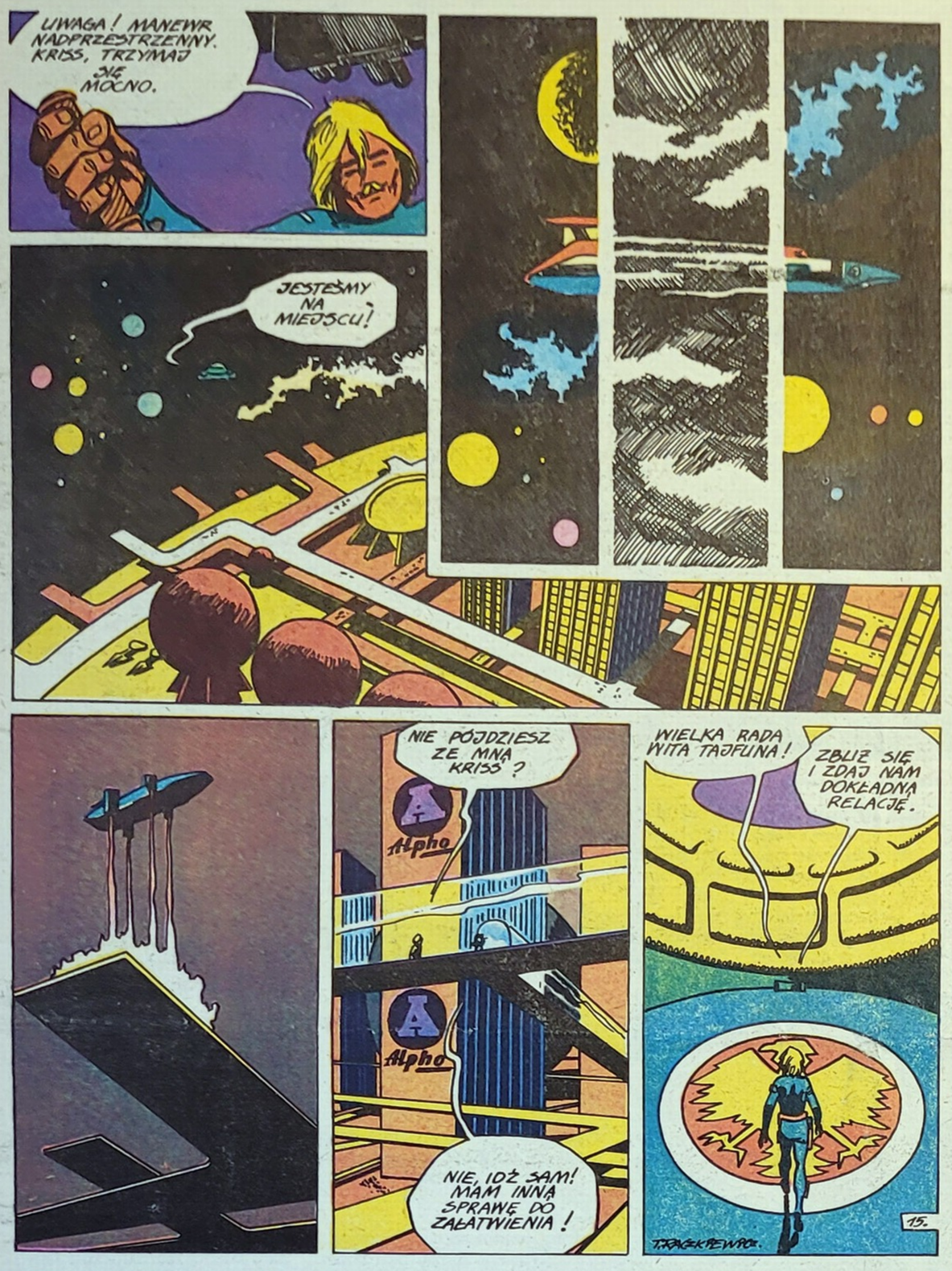

ŚWIAT MŁODYCH
HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

UKAZUJE SIĘ OD 1949 R.
Nr 112 (3886)
WYCHODZI
WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY
Nr indeksu 35046
PL ISSN 0137-9321

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa.

ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33 telex 0315569).

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (redaktor naczelny), Jerzy Dąbrowski, Ewa Drobnik (zastępca red. nacz.), Maria Jaworska, Wanda Kobyłecka (zastępca red. nacz.), Teresa Maciszewska, Zdzisław Przybyłowski, Barbara Skórska, Grażyna Szroeder-Bukowska (zastępca sekr. red.), Marek Szymański, Wojciech Wróblewski (sekretarz redakcji).

TELEFONY: Red. naczelny 21-15-61
Sekr. redakcji 28-25-48

Dział Łączności z Czytelnikami – 21-81-13 (czynny w godz. 11–15)
TELEX 81-36-58.
Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.
WYDAWCA RSW „Prasa-Książka-Ruch". Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A. Telefony: Dyrektor 28-09-73. Dział Wydawniczy 29-35-52. Informacji o warunkach i terminach prenumeraty udzielają wszystkie Oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz urzędy pocztowe.

Opracowanie graficzne: Inna Bójska
Opracowanie techniczne: Barbara Zając
Korekta: Barbara Wasilewska
Nakł. 500 000. Nr zam. 3483/G. T-54
DRUK Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

UŚMIECH NUMERU

– MĄDRALA, POWIEDZ nam, jakie znasz jednostki większe niż metr?
– No, na przykład... dwa metry...

★

W ADMINISTRACJI osiedla pan Mądrala stara się o nową piwnicę twierdząc, że w tej starej zbiera się woda.
– A po czym pan to poznaje? – pyta administrator.
– Na przykład – mówi Mądrala – w zeszłym tygodniu zastawiłem pułapkę na myszy, a złapał mi się karp.

Róża zrozumiała, że należy postępować niezwykle ostrożnie, by nie urazić bolącego miejsca, które nie zdążyło się jeszcze zabliźnić. Niestety, w Tuileriach czekała na nią pilna robota.

Zostawiła małą jak dnia poprzedniego przy palącym się kominku, gdy wróciła, Meli już tam nie było.

– Cały czas siedzi u Dziadusia – poinformowała Zelia. – Wchodziłam tam kilkakrotnie, żadnej szkody nie robi, przygląda się wszystkiemu, obrazom, książkom, miniaturom.

– Witaj Melu. Róża zaskoczyła ją z dziadusiową tabakierką w ręku. – Nie nudziłaś się?

– Nie. Chodź do mnie. Chcę być zawsze z tobą. Dlaczego wychodzisz i zostawiasz mnie samą?

– Nie jesteś sama, Zelia jest w domu.

– Zelia to służąca.

– Cóż z tego? Zelia jest bardzo dobra, mądra i mnie kocha. Nie wiem co bym zrobiła bez Zelii.

– Teraz masz mnie. Ja też ciebie kocham.

– Cieszę się. Ale powiedz mi...

Zelia przerwała rozmowę anonsując obiad. Podczas jedzenia jak zwykle stała za krzesłem Róży podając skromne potrawy. Ze względu na nią, rozmowa toczyła się po francusku. Okazało się, że i tym językiem Mela posługuje się bezbłędnie.

Potem Róża spieszyła do roboty, obiecała jednak, że postara się wcześniej wrócić. Zastała Melę znowu w pokoju Dziadusia.

– Tu mi się najbardziej podoba – oświadczyła dziewczynka. – Jest mój talerz. Chciałabym tu mieszkać.

– Nie bałabyś się spać sama?

– Zawsze spałam sama. Mademoiselle spała w sąsiednim pokoju.

– A... twoi rodzice?

Mela znowu pochyliła nisko głowę, aż Róża pożałowała pytania.

– Tatuś umarł – dziewczynka wygładziła czarną krynolinkę. – Zamknięto go w skrzyni ...w trumnie – poprawiła się – a potem zabrano na cmentarz. Nie ma tatusia... – cała twarz drgała, jak od powstrzymywanego z wielkim wysiłkiem płaczu.

– Ale jest przecież mamusia.

– Mamusia... – ból okazał się ponad siły i Mela szlochając poszukała ratunku we współczującym objęciu Róży. – Mamusię też zabrano... jak tylko tatuś umarł... Mamusia krzyczała, chciała zostać ze mną, w domu, ale zabrano ją... mnie zamknięto na klucz... Och, mamusiu... mamusiu...

Długo tak płakała. Jakaś nie dziecinna tragedia wstrząsnęła jej króciutkim życiem, za ciężka i za trudna by mogło ją pojąć i znieść tak małe serce.

– Chcesz wrócić do domu, prawda? – Róża zadała to pytanie już po kolacji.

– Nie, nie! – krzyknęła gwałtownie Mela. – Nigdy nie wrócę do domu. Nie ma ani tatusia, ani mamusi. Jeżeli mnie wyrzucisz, pójdę na cmenatrz.

Dokończenie na str. 7